


V
B J
C

KAROL POTKAŃSKI.

O pochodzeniu wsi polskiej.







LWÓW,
CZCIONKAMI DRUKARNI LUDOWEJ,
pod zarządem T. Wiedenia.
1905.

Odbitka z „Przeglądu prawa i administracyi".

Starych kronik, dokumentów, zabytków sztuki i architektury pytamy się przedewszystkiem, kiedy chodzi o przeszłość. Dlaczego tak jest — łatwo odgadnąć. Stare kroniki i dokumenty przechowujemy po bibliotekach i archiwach, zabytków sztuki i architektury bronimy przed zniszczeniem i nie dopuszczamy wszelkiej zmiany, chcemy je mieć i zachować, o ile tylko można nietkniętemi, chcemy słowem ochronić je przed działaniem czasu, który niszczy i przed działaniem życia, które, samo ciągle zmienne, zmienia wszystko dokoła siebie i rzec można, żyje właśnie tą przemianą.

Wobec tego rodzi się pytanie, czy np. sposób budowania domów lub rozdział pól i system gospodarstwa mogą być materyałem historycznym, czy można się ich pytać o odległą przeszłość historyczną? Przecież domy, pola, są przedmiotem codziennego użytku — co więcej, stanowią majątek społeczny, są dobrem ekonomicznem i jako takie muszą się naginać i przystosowywać bezustannie do nowych potrzeb i wymagań; powinniśmy się nawet usilnie o to starać, aby odpowiadały tym nowym potrzebom, aby się przystosowały do bieżących, współczesnych form życia. Wszystko to prawda, ale mimo tych wątpliwości, które się mogą niejednemu nasunąć, przecież się pytać możemy o przeszłość, nawet odległą, nietylko starych kronik i np. pomników architektury, ale dziś lub do niedawna jeszcze istniejących form osadniczych, pól dworskich i chłopskich, chat i dworów, słowem możemy się pytać

wsi polskiej współczesnej, lub do niedawna jeszcze istniejącej o jej pochodzenie i przeszłość i co więcej może nam ona dać odpowiedź.

Czemu tak jest? Łatwo odgadnąć.

Wszyscy wiemy, że różne warstwy społeczne nie biorą równomiernego udziału w kulturze — jedne z nich idą naprzód, inne pozostają w tyle, pozostając zaś w tyle, nie mają tych potrzeb, które są przyczyną i powodem wszelkich zmian, trzymają się więc starszych, prostszych form i sposobów gospodarczych, których na nowsze nie zmieniają. To byłaby odpowiedź, która się sama narzuca, odpowiedź pierwsza z brzegu, jakbyśmy mogli powiedzieć. Prócz niej jest wszakże i inna, po którą trzeba głębiej sięgnąć. Okresy historyi ekonomicznych stosunków są daleko dłuższe, niż okresy historyi politycznej, tak że jeden i ten sam stopień ekonomicznej ewolucyi obejmuje zazwyczaj różne stadya ewolucyi politycznej. Szczególniej okazuje się tutaj trwałą technika gospodarcza, która się nawet wówczas nie koniecznie zmienia, kiedy się zmienia rozdział majątku społecznego, zawsze więcej związany ze zmianami politycznemi i bardziej od nich zawisły. Głębiej, poza zmienną, ruchliwą i burzliwą falą politycznych zdarzeń i wypadków, kryje się toń nie zupełnie nieruchoma, ale spokojniejsza. Zmiany, które w niej zachodzą, są powolne — lecz za to trwalsze i sięgające do gruntu, do podstaw. Dopóki się one nie pojawią, wszystko jest po dawnemu — wiele rzeczy zmienia się na powierzchni — a przecież dawne formy i stosunki zostają nietknięte! Podobnie i ze wsią polską. Przetrwała ona niejedną polityczną zmianę, przetrwała nawet i upadek dawnej Rzeczypospolitej i dopiero dzisiaj znowu się zmieniać poczyna. Nim to wszakże nastąpi, nim zniknie, a raczej nim się przeobrazi i zatraci swe charakterystyczne znamiona, możemy jeszcze dzisiaj, lub mogliśmy do niedawna odnajdywać w niej nietylko zatarte ślady i szczątki — ale prawie nietknięte formy i stosunki odległej przeszłości dziejowej.

Skoro tak jest, musimy przedewszystkiem zapoznać się z najbardziej zasadniczemi formami jeszcze dziś istniejącej wsi polskiej, przyczem będzie nam chodzić jedynie o najbardziej typowe i najpowszechniejsze jej charakterystyczne znamiona.

Wieś polska, taka, jaką jeszcze pamiętamy, z chatami po obu stronach drogi, jest zbudowana zazwyczaj w prostą ulicę, z folwarkiem i dworem pańskim opodal. Pola orne takiej wioski dzielą się zazwyczaj na trzy części, stosując się do podziału gospodarczego. Nie tak to dawno bowiem, gdyż jeszcze do połowy XIX wieku mniej więcej, systemem panującym był system trójpolowy, siano oziminę w jednem z tych trzech pól, w drugiem jarzynę, a trzecie i ostatnie było ugorem i służyło za pastwisko. Większą część każdego z owych pól stanowiły grunta folwarczne, t. z. w Galicyi obszar dworski, obok nich zaś ciągnęły się wązkiemi pasmami działki chłopskie. Taka jest najogólniejsza, szematyczna forma wsi polskiej. Oczywiście, różne odstępstwa od niej i zmiany są nietylko możliwe, ale nawet konieczne. Przedewszystkiem tam, gdzie gleba nie była jednostajnie urodzajną, tam owe trzy pola dzieliły się jeszcze na niwy, a w każdej z takich niw znowu pojawiają się i pola dworskie i sąsiadujące z niemi działki chłopskie. Na taką wieś polską różne wpływy działały w ciągu wieków i one też w niejednem musiały naruszyć tę jej najprostszą, dosyć przejrzystą formę. Działy rodzinne, kupna, sprzedaże, zamiany etc. sprawiły, że szczególniej działki chłopskie rozrywały się i „targały“ coraz bardziej, na coraz bardziej mniejsze parcele, rozrzucone nieraz w kilkunastu i kilkudziesięciu nawet miejscach. W każdym jednak razie wszystkie te nieuniknione zresztą zmiany działy się w obrębie owej zasadniczej formy, gmatwając ją i zacierając pozornie ale wcale jej nie znosząc. Ogólnie też biorąc, wskazany szemat może służyć jako typ najpowszechniejszy wsi polskiej, inne, np. typ, w którym osadnik miał tylko

w jednym kawałku swoją rolę, należał do rzadszych i wkrótce przyjął tę postać, o której przed chwilą mówiłem, tak że istotnie należy ją, a nie inną uznać za powszechną.

Stwierdzenie powszechności tego typu jest tylko częścią zadania, któreśmy sobie postawili; teraz z kolei musimy się zapytać, skąd się on wziął, z jakiej jest epoki i jakim odpowiada stosunkom gospodarczym i społecznym?

Zupełnie na pewno możemy odnieść istnienie tej formy wioski do XV i XVI wieku. Wówczas już była ona powszechną i zupełnie ustaloną. Nie mamy oczywiście z tych czasów planów lub katastru, ale mamy inne źródła, które nam ten brak mogą zastąpić. Pierwszy Kromer w swym opisie Polski z drugiej połowy XVI w. mówi, że wioski budowane są w prostą ulicę. O podziale pól mówią znowu źródła, które mamy dzięki zapobiegliwości kościoła. Istnieją z tego czasu mianowicie różne spisy majątków i uposażeń kościelnych. Najstarszy i najpełniejszy jest t. z. *Liber Beneficiorum*, t. j. „Księga uposażeń“ Długosza, obejmująca całą dyecezyę krakowską, a więc całą ówczesną Małopolskę. Pochodzi ona z drugiej połowy XV wieku, prócz niej zaś dla archidyecezyi gnieźnieńskiej mamy nieco późniejszą z 1551. roku podobną księgę uposażeń Łaskiego, oraz *Liber Retaxationum* z pierwszych lat XVI wieku. Jest to bardzo szczegółowy inwentarz dóbr i dochodów majątku arcybiskupstwa, sporządzony także przez tego samego Łaskiego, a wreszcie mamy jeszcze statuta i księgi sądowe z XV wieku, które dla badań tego rodzaju, jak nasze, można zużytkować. Opisy, gdzie leżą role folwarczne, role proboszczów, lub więcej szczegółowe wzmianki o łanach kmiecych, wskazują pośrednio, że wieś ówczesna — to właśnie wieś z podziałem na trzy pola, w których tylko role kmiece stanowczo górowały nad folwarcznemi, bo ról folwarcznych nie było jeszcze podówczas tak wiele, jak to zobaczymy niebawem. Prócz tych wzmianek pośrednich, mamy

ważniejsze, bezpośrednie, które mówią wprost o takim właśnie podziale pól, który już znamy. Mówi to przedewszystkiem owa „Księga uposażeń“ Długosza w jednym ustępie, wspomina w nim mianowicie o jakiejś wiosce, której role dzielą się na trzy pola „zwyczajem innych wiosek“. A dalej Statut Kazimierza Jagiellończyka z roku 1457 wspomina o zagrodniku, który nie ma roli w trzech miejscach, widocznie więc był to wyjątek — inni zagrodnicy, a z pewnością i kmiecie mieli tak podzielone role. Statut Januszowskiego z XVI w. wreszcie mówi, że łan polski ma być podzielony na trzy pola, to samo powtarzają i księgi podskarbińskie z końca XVI w. Wszystkie te historyczne źródła, jak widzimy, poświadczają zgodnie, że ów podział na trzy pola był podziałem powszechnym w XV i XVI wieku. Powszechną była i wieś zabudowana w ulicę, jak to znowu świadczą opisy Polski z XVI wieku, a przedewszystkiem Kromer. Podział zaś owych trzech pól na poszczególne niwy był bardzo częstym, możemy się o tem także przekonać z tych samych źródeł, które przed chwilą wymieniłem, oraz z ksiąg sądowych; opisy wiosek, które się w nich mieszczą, stwierdzają to aż nadto wyraźnie i nie pozostawiają pod tym względem żadnej wątpliwości.

Samo stwierdzenie faktu, że taka a nie inna forma wioski była powszechną w XV i XVI wieku w Polsce, nie wyczerpuje wszakże całej kwestyi. Cofnęliśmy wstecz wieś polską od połowy XIX wieku do XV i XVI — ale zachodzi teraz pytanie, czy nie możemy jej cofnąć jeszcze dalej wstecz i uznać np., że to jakiś prastary typ słowiański — wieś polska z doby pierwszych Piastów, Mieszka i Chrobrego? Wiemy przecież, że stosunki ekonomiczne i formy gospodarcze odznaczają się wielką stałością, z tego nawet założenia wyszliśmy, więc może ostatecznie i wieś polska nie już z XIX ale z XV wieku da się istotnie cofnąć wstecz dalej jeszcze? Otóż takie przypuszczenie należy kategorycznie odrzucić. Wieś z XV w. nie jest wsią najpierwotniejszą. Mamy na to bezpośrednie i pośrednie

dowody. Na razie nie mogę bliżej wchodzić w tę kwestyę, zbyt bowiem oddaliłoby to nas od właściwego przedmiotu. Wkrótce będę miał sposobność zająć się bliżej pierwotnem, t. j. najstarszem osadnictwem polskiem, tutaj wystarczy stwierdzić fakt, że najdawniejsze osady polskie były bądź osadami jednodworczemi, bądź zbiorem osad jednodworczych, chata osadnika wraz z uprawianem polem, częstokroć rozrzuconem w kilku niwkach, np. po lesie, stanowiła dla siebie odrębną gospodarczą całość. Mogło też przyjść do zestawienia razem a następnie pomieszania kilku takich osad jednodworczych wskutek rozrodzenia się potomków pierwszego osadnika-założyciela lub jednorazowego osiedlenia się paru lub kilku osadników, nie były to jednak wioski takie, jakie poznaliśmy, słowem nie była to wieś polska ani XV w. ani oczywiście XIX wieku. Ta wieś, którą znamy jeszcze do dziś dnia, wyrugowała widocznie dawniejszą — to przypuszczenie samo się teraz już nasuwa.

Istotnie tak się i stało.

Powstanie obecnej wsi polskiej można odnieść do wielkiego ruchu gospodarczego i społecznego, który się w Piastowskiej Polsce rozpoczął w ciągu XIII wieku, a rozwinął i dokonał w ciągu dwóch następnych stuleci, t j. w ciągu XIV i XV wieku. Bez przesady też rzec można: jeszcze dzisiaj odczuwamy pośrednio najdalsze, ostatnie skutki tego, tak już zdaje się, dalekiego przewrotu.

W każdym rozwoju ekonomiczno-społecznym dają się odróżnić dwa nader znamienne okresy, a mianowicie: pierwszy — gospodarstwa bezobrotowego, odosobnionego i następny — gospodarstwa pieniężnego. Stadyum pierwsze, gospodarstwa odosobnionego, tem się głównie odznacza, że producent jest zarazem konsumentem, wystarcza sobie prawie zupełnie, handel zaś jest przedewszystkiem zamiennym. W stadyum zaś więcej rozwiniętego gospodarstwa pieniężnego, podział pracy staje się coraz powszechniejszym, pieniądz występuje też jako środek, stale pośredniczący między

tym, który sprzedaje, a tym, który kupuje, ludzie tworzą sobie niejako pewną stałą miarę wartości. Oczywiście oba te okresy nie są w rzeczywistości tak ściśle odgraniczone, jak w naukowej definicyi. Życie nie mieści się nigdy w formule czy definicyi i nie może być w niej zupełnie uwięzione. Między jedną epoką a drugą, które są niejako dwoma ostatecznościami, mieści się epoka przejściowa. Pieniądz jako środek zamienny jest już znany i w użyciu, ale nie w powszechnem i wyłącznem użyciu, tak że większość tranzakcyi, lub przynajmniej bardzo znaczna ich część dokonywa się jeszcze za pomocą pewnych dóbr, których wartość powszechnie jest ustaloną i użyteczność ogólnie znaną. Dobra owe to przedewszystkiem: zboże, bydło, miód, a prócz tego łupieże, t. j. skórki rozlicznych zwierząt, bardzo poszukiwany przedmiot ówczesnego handlu. Okres ten przejściowy możnaby nazwać okresem surrogatów pieniądza. Polska w XII i XIII w., a nawet znacznie wcześniej, przeszła już i zostawiła za sobą epokę gospodarstwa zupełnie bezobrotowego. Takie gospodarstwo zresztą prowadzą tylko ludy zostające na bardzo niskich szczeblach kultury, o niem też w Polsce XII w. i mowy być już nawet nie może. Nie weszła wszakże Polska ówczesna już zupełnie w okres gospodarstwa czysto pieniężnego. Pieniądz, jak wszyscy wiemy powszechnie, istniał w Polsce XII i XIV wieku, ale większość danin na rzecz panującego, kościoła i na rzecz dworów pańskich, którą składała ludność rolnicza różnych kategoryj, była oddawaną i przyjmowaną w znacznej bardzo mierze w zbożu, bydle, miodzie i łupieżach zwierzęcych, a znak to niechybny, że gospodarstwo społeczne tkwi na owym pośredniem stadyum surrogatów pieniądza. W XIII wszakże wieku przychodzi chwila, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, „przesilenia ekonomicznego“, która ma dla dalszego rozwoju Polski pierwszorzędne znaczenie.

Naród, odcięty od wszelkich wpływów z zewnątrz, który przechodzi podobne przesilenie ekonomiczne,

musi sobie sam radzić i sam wytworzyć nowe formy ekonomicznego i społecznego bytu. Takie odcięcie wszakże jest rzeczą wyjątkową — zwykle też dzieje się inaczej: zaciąga on niejako pożyczkę — ulega wpływom narodów sąsiednich, znajdujących się na wyższych szczeblach ekonomicznego rozwoju, — przyswaja sobie te formy i stosownie do swoich potrzeb zmienia je i przerabia. Od tego przerobienia i przyswojenia zależy nieraz jego dalszy byt i jego rozwój. Jeżeli bowiem nie jest w stanie przyswoić sobie tych form wyższych, grozi mu zwykle niebezpieczeństwo pochłonięcia przez naród bardziej rozwinięty, który często z początku na drodze pokojowej, a później i przemocą narzuca mu swoją kulturę. Jest to zwykłe prawo: formy niższe, mniej doskonałe, ustąpić muszą przed wyższemi, jeśli się z niemi zetkną. „Byle strumień życia płynął wyżej“ — jak mówi poeta. W podobnem niebezpieczeństwie znalazła się podówczas i Polska. Już w końcu XII wieku, a w każdym razie w ciągu XIII dała się uczuć w Polsce potrzeba przemiany gospodarstwa surrogatów na pieniężne (oczywiście przemiany powolnej), zatrzymać tego ruchu nie było można, od jego rozwiązania, jak wspominałem, zależała dalsza przyszłość i rozwój — trzeba też było koniecznie rodzące się żądania zaspokoić.

Społeczeństwa, na niższych szczeblach kultury stojące, inaczej tworzą sobie pojęcie bogactwa: przedstawia się ono dla nich po większej części jako skarb, jeśli chodzi o drogi kruszec, drogocenne tkaniny etc. Prócz tego zaś stanowią bogactwo zapasy. Teraz wszakże dobrze zaopatrzona spiżarnia, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, w ziarno, dzieże miodu i połcie słoniny, nie mogła wystarczyć jedynie i wyłącznie. Nie chciano mieć już pełnej komory — chciano mieć przedewszystkiem pełny trzos — pieniędzy, chciano mieć dochód w pieniądzu. Miejscowa ludność rolnicza, zostawiona swym własnym siłom, nie mogła na razie zadość uczynić nowym wymaganiom, nie mogła sprostać

i podołać zadaniu, trzeba było przedewszystkiem innej, lepszej techniki gospodarczej, ale prócz tego trzeba było gruntownej przemiany dawnych stosunków społecznych, bez której to przemiany znowu technika nie wystarczała, słowem potrzeba było polepszenia doli rolniczej ludności, z czego, jak zwykle w takich razach, nie zdawano sobie wcale sprawy. Nie wątpię, że owa przemiana byłaby się dokonała na drodze zwykłej, jeśli tak powiedzieć wolno. Ludność rolnicza i w ogóle społeczeństwo polskie XIII wieku byłoby samo rozwiązało tę kwestyę — tylko bardzo powoli i może pod niejednym względem nie tak łatwo i nie tak pomyślnie. Tymczasem stało się inaczej. W Polsce objawiła się dążność do zapotrzebowania wydatniejszej ludzkiej pracy — daleki Zachód potrafił ją zaspokoić. Polska zaroiła się od obcych przybyszów z dalekich stron, od kolonistów, gotowych czynsz pieniężny uiszczać.

Na zachodnim krańcu Europy, nad morzem Niemieckiem we Flandryi i Fryzyi w końcu XI wieku i na początku XII objawił się korzystny zwrot w położeniu ludności rolniczej, a w ślad za tem względne, jak na ówczesne czasy, przeludnienie. To wytworzyło znowu dążność wśród owej ludności do szukania nowych siedzib, słowem do kolonizacyi. Słabo zaludnionych przestrzeni nie brakło podówczas w Europie, z owego też zbiornika we Flandryi, z którego poczęło się teraz przelewać, rozeszła się szeroko fala osadnicza po owych nieledwie pustych obszarach. Ruch emigracyjny z Flandryi i Holandyi, dla którego wschód Europy odgrywał podobną rolę, jak dla osadników europejskich Far-West Północnej Ameryki, dał się najwcześniej i najsilniej odczuć w sąsiednich okolicach Niemiec północnych i w Turyngii, powoli jednak dotarła pierwsza fala osadnicza, jakbyśmy ją nazwać mogli, dalej na Wschód i oparła się aż o Polskę — mianowicie o Śląsk, gdzie osadników flandryjskich i wallońskich spotykamy dosyć wcześnie. Nie domyślamy się może, iż osadnictwo fryzyjsko-flandryjskie — to pierwsza straż wielkiego osadniczego

i ekonomicznego prądu, który zaludnił dzisiejsze Niemcy północne — Prusy, i który do gruntu zmienił etnicze stosunki tej części Europy. Państwo Niemieckie dawno już było zajęło i ujarzmiło Słowian połabskich — ale zająć i ujarzmić — a nawet wytępić w znacznej mierze ludność tubylczą — to jeszcze nie wszystko, to dopiero przedwstępne niejako przygotowanie do dalszego działania. Słowiańszczyzna połabska po długich i morderczych walkach, z przetrzebioną bardzo silnie ludnością, czekała właśnie teraz na tych, którzy mieli dać hasło niejako do zupełnego wyparcia tubylców. Książęta sascy, przedewszystkiem Albrecht Niedźwiedź, a także różni dostojnicy kościelni, biskup Bremy i arcybiskup Hamburga, oraz cały szereg różnych opatów cysterskich zwrócił się teraz do Flandryi i Fryzyi po osadników. Kto potrzebuje i żąda wyświadczenia jakichś usług, jak w tym razie ekonomicznych, ten musi się zgodzić także na pewne warunki, które podają ci, do których się on zwraca i sam też musi podać swoje. Przyszło więc w ten sposób do zawarcia obopólnej umowy między stronami. Koloniści owi, sprowadzani z Zachodu do dzisiejszych Niemiec północnych, przynosili z sobą, zmienione i ulepszone sposoby technicznej uprawy i podziału pól: ulepszony pług żelazny i zamiast rozrzuconych drobnych działków po całej przestrzeni, zajętej pod uprawę, jeden większy kawał pola, który się ciągnął zazwyczaj długim pasem od zabudowań gospodarczych do granic wioski, często zaś ze względu na trójpolówkę rola owa leżała w trzech polach. Był to postęp i to znaczny wobec panujących podówczas w Niemczech stosunków. Postępem była również i organizacya takiej nowej wioski. Myliłby się ten, którzyby sądził, że była ona zupełnie nową — tak nie było, już istniejące dawniejsze niemieckie stosunki były punktem wyjścia do dalszych zmian w tym kierunku. Zmiany te polegały przedewszystkiem na przyznaniu większej autonomii, większego samorządu nowym osadnikom. Ani t. zw.

Schulthess, t. j. nasz późniejszy sołtys, rodzaj niższego urzędnika wiejskiego, który teraz zazwyczaj umawiał się z właścicielem za osadników, nie był zupełną nowością, ani sądownictwo które sprawował, ale i jego urząd i zakres funkcyj, które wypełniał, zostały teraz zmienione i rozszerzone w duchu, jak wspominałem, zapewnienia większej swobody mieszkańcom. I wśród samej ludności rolniczej mogła się znaleźć klasa, której położenie prawne było zbliżone do położenia kolonistów. Oczywiście tylko dawniejsze, uciążliwe nieraz i wielorakie robocizny i daniny zostały zamienione na stałe. Zastąpił je czynsz w gotowiźnie, o którą przedewszystkiem chodziło właścicielom, sprowadzającym kolonistów. Koloniści zaś mogli go łatwiej uiścić, bo byli zamożniejsi od dawniejszej ludności, pracującej gorzej wśród gorszych warunków — prócz czynszu składali oni jeszcze pewną ilość zboża różnego gatunku i opłacali dziesięcinę zazwyczaj także w gotówce. Pełnili też i pewne posługi, a tam, gdzie był folwark, bardzo nieznaczną robociznę, zwykle parę dni w roku i pomoc przy żniwach.

Takie były najogólniej tylko i pokrótce zaznaczone ich obowiązki, które wypełniać musieli — ale nie odrazu. Jeżeli bowiem należało wieś z nowego korzenia założyć, osuszyć błota, jak się to zwykle działo na północnem pojezierzu morza Niemieckiego lub Bałtyku, lub wytrzebić las, jeśli to było wewnątrz kraju, tam uwalniano nowych osadników na pewną liczbę lat od wszelkich czynszów i obowiązków. Jeżeli zaś przychodziło do zamiany już istniejącej dawniejszej osady na nową, tam zazwyczaj lata wolności skracano do połowy, ze względu na łatwiejsze warunki gospodarstwa. Zresztą liczba lat owych stałą nie była — to już zależało od umowy, nie zapominajmy bowiem, że to była umowa między stronami, która w tym wypadku, jak i w wielu innych, regulowała wzajemny stosunek. Pośrednio wynika z samego faktu, że to była umowa, jeszcze jeden nader ważny fakt. Skąd przychodzili owi osadnicy?

Nikt się ich tak bardzo, jak sądzę, nie wypytywał. Mogli to być t. zw. *„hospites“*, t. j. goście, którzy i dawniej mieli prawo przenosić się z miejsca na miejsce i uprawiać cudze włości, godzić się za kontraktem, jakbyśmy powiedzieli, słowem owa klasa ludności rolniczej, której prawne stanowisko najbardziej się zbliżało do stanowiska nowych osadników, mogli to być czyiś poddani, którzy tego przywileju nie mieli i którzy byli nawet zbiegami. Z chwilą wszakże, kiedy przyszło do zawarcia takiej umowy, wchodzili oni faktycznie w nowy stosunek, byli, jakbyśmy dziś powiedzieli, farmerami, dzierżawcami, którzy mogli opuścić rolę po wypełnieniu warunków, przewidzianych w umowie. Z prawa tego musieli oni często korzystać, a nawet go nadużywać, było też ono dla nich ważnym bardzo przywilejem, który wynikał z samych ówczesnych stosunków ekonomicznych. Zapotrzebowanie pracy było znaczne i rosło, dopokąd o ziemię było łatwiej, niż o pracę ludzką. Ten wzgląd nawet zapewniał w pewnej mierze przewagę tym, którzy dostarczali pracy, t. j. nowym kolonistom, nad nowymi właścicielami, wskutek tej przewagi też stosunki ludności rolniczej zmieniały się podówczas na lepsze — jak się zresztą zwykle dzieje w epokach zwiększonego ruchu gospodarczego, który bez zapotrzebowania pracy obejść się nie może.

Cały ten ruch osadniczy, o którym wspominałem, w ciągu XII. a szczególniej w ciągu XIII w. ogarnął zachodnie i południowe Niemcy, „Niemcy właściwe“, jakbyśmy je w odróżnieniu od późniejszych, wschodnich mogli nazwać. I one z kolei nietylko przyjmowały flandryjskich kolonistów, ale pod impulsem owej kolonizacyi i według jej modły zaczęły zmieniać i reorganizować swoje własne stosunki i same wysyłać także kolonistów na daleki Wschód. Przyszło im to łatwo, w XII i XIII wieku bowiem Niemcy zachodnie posiadały już także nadwyżkę ludności, gotową opuścić swe dawne siedziby i szukać choćby na obczyźnie poprawy losu; udoskonalone zaś urządzenia flandryjskie,

o których wspominałem, miały z niemieckiemi jedno źródło i różniły się tylko stopniem rozwoju, łatwo więc i szybko mogły być przejęte. To wszystko sprawiło, że kolonizacya niemiecka stała się niebawem bardzo liczną, liczniejszą nawet o wiele, niż flandryjska, od której tylko impuls wyszedł, Niemcy też przyjęły główny udział w zaludnieniu i zagospodarowaniu wschodniej Europy.

Polska leżała podówczas na dalszym jeszcze Wschodzie, niż dzisiaj. Wprawdzie położenie geograficzne jako takie zmianom nie ulega, nie posuwa się dalej, ani przybliża, posuwają się wszakże lub cofają prądy cywilizacyjne. Polska ówczesna, powiedzieć można, leżała na samych już krańcach Europy, Europy łacińskiej, zachodniej, którą sama kiedyś miała na Wschód dalej posunąć. Do niej też dojść, o nią się oprzeć musiały owe prądy kolonizacyjne, na nią wpływ swój wywrzeć. Tak się stało istotnie. Wpływ to był niezmiernej doniosłości i wagi, jak często bywa wpływ pod wielu względami zbawienny w pewnej chwili dziejowego rozwoju — ale mógł on być i obosiecznym, mógł się bowiem i zgubnym okazać.

Pierwsza fala tego wielkiego ruchu kolonizacyjnego, fala flandryjska, mimo że szła z tak daleka, dotarła przecież do Polski — i to niespodziewanie wcześnie. Mianowicie na Śląsku widzimy osadników flandryjskich, z francuskiej części Flandryi, t. j. z Walonii, pod koniec XII wieku. Osiedlają się oni na ziemiach bogatego opactwa kanoników regularnych na górze Sobótce, którego zakonnicy także z Flandryi przybyli, później są i we Wrocławiu — z chwilą jak się on ze starego piastowskiego grodu przetwarza na miasto. Po immigracyi flandryjskiej, która dotarła zresztą tylko do najbardziej zachodnich okrain Polski, do samego zaś jej wnętrza nie doszła, przyszła fala druga, potężniejsza, a z nią przyszli oczywiście dobrzy nasi znajomi — niemieccy koloniści. Pierwsza, po przejściu tak znacznych obszarów, była już za słabą, musnęła więc tylko Polskę, za to druga uderzyła o nią z całą jeszcze siłą, zalała ją

na chwilę, cofnęła się, ale zostawiła znaczne bardzo ślady, przyniosła bowiem z sobą nietylko ludzi, ale z nimi razem nowe urządzenia i nowe stosunki ekonomiczne. Z pomocą to właśnie owych kolonistów niemieckich i w znacznej mierze przez nich dokonał się przewrót gospodarczy, o którym wspominałem. Przewrót ten ekonomiczny i społeczny jest pierwszorzędnej doniosłości: Polska wyszła z dawnych pierwotniejszych stosunków i weszła w nowe, bardziej rozwinięte, nastąpiła zamiana gospodarstwa bezobrotowego na pieniężne, powstały miasta, bez których zamiana owa nie jest się w stanie dokonać, bo one to dostarczały za sprzedane zboże pieniędzy, w których opłacał czynsz kolonista. Bez przesady też należy powiedzieć: od pomyślnego rozwiązania tego dziejowego problematu zależał nietylko przyszły rozwój ekonomiczny Polski, ale nawet w znacznej mierze jej narodowe istnienie.

Setki dokumentów lokacyjnych, t. j. przywilei wystawionych na zakładanie wiosek na prawie flandryjskiem lub niemieckiem, które do nas doszły, świadczą dziś jeszcze, jak dalece nowe osady były liczne i jak szybko powstawały w ciągu XIII i XIV wieku. Panujący udzielał pozwolenia na lokacye, które były zarazem uwolnieniem od dawnych ciężarów i danin składanych według prawa miejscowego, t. j. polskiego, korzystali z nich wszyscy, którzy tylko korzystać mogli — a więc kościół i rycerstwo — ale przedewszystkiem kościół. Posiadał on z dawien dawna znaczne i rozległe majątki, zawsze też, dbały o dobre zagospodarowanie i powiększenie dochodów, pierwszy musiał się zwrócić po nowych kolonistów, którzy jedni mogli mu zapewnić i dochód i dziesięcinę w pieniądzu i zbożu. Przecież w pierwszej już połowie XIII wieku biskup płocki i wrocławski wiodą długie spory z księciem i ludnością, nie chcą bowiem już wtedy przyjmować dziesięciny w skórkach zwierzęcych i miodzie — i zamiast owych surrogatów pieniądza żądają gotówki i zboża. Nic też dziwnego, że pierwsi zwracają się do

tych, którzy im jedynie mogą dostarczyć jednego i drugiego, a przychodzi im to o wiele łatwiej niż innym. Widzieliśmy już, jak opactwo śląskie na górze Sobótce zwraca się do Flandryi i stamtąd osadników sprowadza, bo samo stamtąd pochodzi. Bogate opactwa Cystersów, powstałe przeważnie na końcu XII wieku, pochodzą prawie wyłącznie z Niemiec, nic też dziwnego, że z Niemiec sprowadzają teraz osadników i przedewszystkiem zwracają się po nich do swej dawnej ojczyzny: chcą mieć nietylko braci zakonnych Niemców, ale i wioski niemieckie naokoło siebie i robią to, o ile tylko się da. Prócz kościoła żywy udział w tym całym ruchu bierze sam panujący, do którego należą podówczas jeszcze olbrzymie obszary. Zaludnia on je i zagospodarowywa także przybyszami z Niemiec — a nadto lokuje i zakłada niemieckie miasta. Stare piastowskie grody ustępują teraz miejsca niemieckim miastom. Sypane z ziemi okopy koliste, z poza których wyglądają zczerniałe drewniane obronne budowle i kościelne wieże — dawne, nieraz jeszcze pogańskie grodziska zamieniają się na murowane grody i dworce książęce. Dawne podgrodzia: kupy domostw pod owymi kolistymi okopami — zamieniają się na regularnie wytyczone i wymierzone kwadratowe rynki z ratuszem i farą w pośrodku i ulicami, które się rozchodzą na wszystkie cztery strony. Kraj przybiera inny charakter, bo i rycerstwo także wyjednywa od księcia pozwolenie na zakładanie wsi na prawie niemieckiem i ono nie chce być w tyle za kościołem i panującym; nie chce. a nawet nie może, czuje bowiem doskonale i umie ocenić ekonomiczne znaczenie kolonizacyi i nie myśli wcale wyzbywać się płynących z niej korzyści. Słowem w tym ruchu kolonizacyjnym biorą udział wszystkie warstwy społeczne według sił i możności.

Wielki ten prąd kolonizacyjny, pod którego wpływem dokonała się w Polsce przemiana gospodarstwa bezobrotowego na pieniężne, musiał także zmienić organizacyę ludności rolniczej; był dosyć potężnym, aby wytworzyć i pozostawić nowy typ wioski — ten typ wio-

ski właśnie, który obecnie za polski, miejscowy, możemy uważać. Z nim możemy się teraz zapoznać i dowiedzieć, jak on wygląda na ziemiach polskich. Wnikanie w szczegóły wychodzi daleko poza ramy niniejszego odczytu, nie mam też i ja zamiaru podawać tutaj szczegółowych badań, wystarczy miejsca zaledwie na podzielenie się z czytelnikiem najogólniejszymi wynikami, choć przyznać trzeba, że nietylko brak miejsca stoi na przeszkodzie do powiedzenia i co najważniejsze objaśnienia wszystkiego. To, co się wie pewnie i dokładnie, zawsze skrócić łatwo — ale właśnie trudność polega na tem, że nie wszystko dobrze wiemy, nie wiemy n. p. dokładnie, o ile i w jakiej mierze zmieniają się warunki umów między właścicielami a kolonistami w miarę, jak się na wschód posuwamy. Na to należałoby porównać lokacye polskie — z bardziej zachodniemi niemieckiemi — a o ile wiem przynajmniej, nikt się tem nie zajął, z góry wszakże powiedzieć można, iż sam kontrakt, sama umowa, którą obie strony zawierały, niewielkim i nieznacznym mogła ulegać zmianom. Jeden czynsz, t. j. jego wysokość oraz dziesięcina i inne ciężary, słowem strona ekonomiczna umowy zmienić się mogła, choć i to pewnem nie jest; strona prawna nie ulega zmianom tak łatwo, i tym razem też nie zmieniła się wcale, ale, co nas najwięcej obchodzi, nie zmieniła się sama technika, t. j. sam sposób zakładania nowych osad lub przemiany już istniejących. Nie zmienił się ów sposób i po drodze nie zgubił, nim do nas przyszedł. Zmiany nastąpiły później pod wpływem miejscowych stosunków, ale i tych zmian zbytnio przeceniać nie należy — główny zrąb, główny plan, w swoich najogólniejszych zarysach nie został tak dalece naruszonym — dlatego też możemy śmiało powtórzyć, że wieś polska, ta, którą dziś znamy i która jest lub do niedawna jeszcze była zupełnie powszechną, pochodzi w prostej linii od owych osad zakładanych niegdyś na niemieckiem lub flandryjskiem prawie.

Przypatrzmy się nieco bliżej tym wioskom, które wzór dla późniejszych stanowią.

Lokacya wsi, osadzenie jej na prawie niemieckiem „*in iure theutonico*“, jak mówią nasze dokumenty, wymagało dosyć czasu i zachodu. Brały w niej udział umawiające się strony: właściciel z jednej strony, a z drugiej sołtys jako pośrednik, oraz, jak ich nazywają nasze polskie dokumenty, kmiecie, t. j. przyszli gospodarze i prócz nich reszta wiejskiej ludności, a mianowicie zagrodnicy, a także często rzemieślnicy i karczmarze. Ze strony kolonistów występował sołtys i pod jego kierunkiem dokonywał się pomiar zajmowanego obszaru — zwykle lasu lub pustki — a czasem starej, już istniejącej osady, którą na nowo należało urządzić. Oznaczano miejsce, które następnie rozmierzano na łany, tak się bowiem w Polsce nazywa „*mansus*“, który odpowiadał niemieckiej „*Hufe*“, włóce, jakbyśmy ją także nazwać mogli. Dwa były rodzaje łanów, które z sobą przynieśli obcy koloniści: łan frankoński — większy, zdaje się, odpowiadający niemieckiej „*Königshufe*“, t. zw. włóce królewskiej, i łan flandryjski — mniejszy, zwany także u nas włódką chełmińską. Stosunek wzajemny obu tych łanów najpewniej był taki, że łan frankoński wynosił morgów 45 a flandryjski 30. Przyjąć trzeba wszakże, iż stosunek ów nie był wszędzie jednaki. Niektórzy uczeni niemieccy np: przypuszczają, że łan frankoński był dwa razy większy od flandryjskiego, miał on morgów 60, podczas kiedy flandryjski miał ich tylko 30. Zwykle na łany frankońskie mierzono lasy i pustki, które miały być dopiero wytrzebione i zamienione na uprawną rolę — na flandryjskie zaś mniejsze, mierzono już dawniej uprawne pola, choć nie było to zawsze i wszędzie zasadą, którąby się kierowano stale. Zdaje się, że i mniejsza lub większa urodzajność gruntów wchodziła tutaj w rachubę, a mianowicie ziemie mniej urodzajne dzielono na łany większe frankońskie, żyźniejsze na mniejsze — flandryjskie. Sam pomiar odbywał się zapomocą sznura; po przemierzeniu obliczano ogólną ilość łanów. Bardzo

często owych łanów było dwadzieścia, choć z góry ostrzegam, że wcale nie myślę, aby to była jakaś stała liczba, bywały bowiem osady liczące po trzydzieści — po czterdzieści i więcej łanów — a bywały i mniejsze — stwierdzić tylko muszę, że wsi o dwudziestu łanach spotykamy w dokumentach lokacyjnych więcej niż innych. Obliczano tedy, czy jest łanów tyle, ile było trzeba i przystępowano do ich rozdziału między całą ludność przyszłej wioski — między kmieci, sołtysa i zagrodników.

Koloniści, kmiecie, jak ich nazywają stale późniejsze polskie dokumenty lokacyjne, dostawali zazwyczaj po jednym łanie, a wyjątkowo nawet i po dwa łany, ale to w każdym razie należało do rzadkich wypadków. Pozostaje teraz wszakże pytanie, gdzie i jak leżał ów łan, który przypadał każdemu z kolonistów na owym przeznaczonym pod uprawę obszarze — czy cały leżał w jednem miejscu — czy może rozdzielony w kilku lub może w paru?

Osady flandryjskie, zakładane w dzisiejszych północnych Niemczech, szczególniej osady zakładane w dzisiejszym Hanowerze, Meklemburgii, odznaczały się ulepszonym podziałem pól, jak to już wspominałem. Ulepszenie to polegało na uproszczeniu dawniej istniejącego podziału pól ornych. Każdy osadnik mianowicie dostawał swój grunt w jednem miejscu, w jednym wązkim pasie, który się ciągnął od jego domostwa do granic wsi. Taki podział wytworzył się przedewszystkiem we Fryzyi, gdzie był wynikiem warunków fizyograficznych. Pola orne w pobliżu morza, narażone na jego zalewy, musiały się na sztucznie usypanych wyżynach ciągnąć takimi wązkimi pasami. Bezwątpienia, taki podział przynosili z sobą i w inne okolice flandryjscy i niemieccy koloniści, przynosili go czasem i do Polski — nie sądzę wszakże, aby to był panujący podział wsi osadzonych u nas na prawie niemieckiem. Mógł się on nawet dosyć często trafiać — temu nie przeczę, ale nie sądzę, aby wpłynął na ostateczne wytworzenie późniejszej wsi polskiej. Na to wpłynął typ inny. Nasze dokumenty lo-

kacyjne wymieniają czasem i miejsce, w którem się znajdowały łany kolonistów, a mianowicie mówią one, że są w trzech miejscach — otóż sądzę, że był to podział powszechnie przyjęty, słowem zgodny z późniejszym. Nowi koloniści przyczynili się głównie do rozpowszechnienia u nas gospodarstwa trójpolowego, które, aczkolwiek znane, przecież nie było w XIII a nawet i XIV w. ogólnie przyjętem — a właśnie fakt, że łan znajduje się w trzech miejscach, odpowiada gospodarczemu podziałowi na trzy pola: ozime, jare i na ugór. Taki podział musieli już przynieść ze sobą osobliwie liczniejsi koloniści niemieccy i ten właśnie pozostał typowym.

Uczeni niemieccy są zdania, że podówczas w Niemczech panującym był podział pochodzący z bardzo odległej epoki. Grunta orne, należące do jakiejś osady, dzieliły się na pewną ilość niw różnej urodzajności, w każdej takiej niwie każdy z mieszkańców wioski miał swój udział i w ten sposób miał swoją włókę we wszystkich rodzajach gleby. Otóż wobec tego podziału, podział na trzy pola, uwzględniający tylko sposób, t. j. technikę gospodarstwa, był postępem, bo był także uproszczeniem. Z pewnością też okazywał się w zwykłej praktyce dostatecznym, aby zapewnić każdemu z uczestników taki sam udział we wszystkich rodzajach gleby wziętych pod uprawę — zbyt bowiem wielkich różnic pod tym względem na przestrzeni jednej wioski być nie mogło i w znacznej większości wypadków z pewnością nie bywało. Ten podział na trzy pola, z których w każdym nowy osadnik miał trzecią część łanu frankońskiego lub flandryjskiego, był powszechnym. Dokonywał się on zaś w drodze losowania, dla uniknięcia wszelkich sporów, któreby przy zwykłym dowolnym wyborze wyniknąć mogły. Nie trzeba sobie wszakże zbyt prosto, t. j. zbyt ściśle przedstawiać tego pomiaru: przypuśćmy, mogło być dwudziestu osadników — otóż niekoniecznie równo dwadzieścia łanów odpowiadało ich liczbie. Zwykle tak nie bywało. Przedewszystkiem mógł się znaleść i znajdował jakiś łan jeden, dwa, lub jakaś jego część

nawet ponad żądaną i umówioną liczbę, otóż dzielono i taki pozostały skrawek roli między kolonistów. Były to t. zw. po niemiecku „*Überscharen*“, z których powstał nasz „obszar“. Później, w XV wieku, role owe zbywające nazywano bardzo trafnie przymiarkami, a po łacinie *excrescentiae* albo *superfluitates*. Leżały one na granicy wsi poza całkowitymi łanami i bardzo często powstawały później, w miarę zajmowania, a często wdzierania się wsi w lasy, zarośla lub inne „nieużytki“. Nie wszystko oczywiście kończyło się na owej roli — prócz niej kolonista musiał mieć łąkę, pastwisko i wreszcie las, z którego mógłby użytkować. Łąki zwykle dostawał pewną ilość w proporcyi do roli ornej, mierzono ją zaś albo na wozy siana, albo też dawano wprost pewien jej obszar, rozmieszczony podobnie jak orne pola. Pastwisko zostawało wspólne dla wszystkich — las też, aczkolwiek pański, obciążony był, jakbyśmy powiedzieli dzisiaj, różnymi serwitutami. Budulcu oczywiście dostarczał właściciel na zbudowanie domostw, ale prócz tego ten sam las musiał dostarczyć kolonistom drzewa opałowego i różnych jeszcze użytków, bez których ówczesne gospodarstwo, bardziej ekstensywne niż dzisiejsze, obejść się nie mogło.

Kmiece łany w trzech polach z przymiarkami i łąkami nadawały charakter wsi, decydowały o jej typie i zajmowały prawie cały jej obszar, nie można wszakże powiedzieć, aby zajmowały go całkowicie. Prócz nich były jeszcze orne grunta, które nie były łanami kmiecymi, t. j. nie miały więcej niż łan, albo nie dochodziły do jego rozmiaru. Przedewszystkiem prócz łanów i kmieci byli jeszcze zagrodnicy i były zagrody t. zw. *hortulani* i *hortulaniae* przywilejów lokacyjnych, dosłownie ogrodnicy i ogrody. Zagrody nie leżały zazwyczaj w trzech polach, nie można też powiedzieć, ile wynosiły. Mierzono je na pręty, nie na morgi; przypuścić trzeba, że były to kawałki pola w rozmaitych wioskach rozmaitej wielkości, wydzielane razem z domostwem zagrodnikom. Każdy kmieć miał na swoim łanie obok swego domu taki skrawek roli z chatą przeznaczoną dla zagrodnika,

lub też zagrodnicy razem, t. j. w jednem jakiemś miejscu wsi, zwykle na t. zw. „nawsiu“ mieli swe zagrody. Prócz zagrodników takie *hortulaniae*, t. j. zagrody, mieli także karczmarze lub karczmarz, oraz rzemieślnicy, jak np. niezbędny kowal, oraz szewc, piekarz, rzeźnik, bo wówczas byli oni po wsiach, były np. i jatki, co nas może nieco zdziwić, ale wtedy nie był jeszcze kmieć skazanym na przymusowy wegetaryanizm. jak dzisiaj!

Jeżeli weźmiemy łan jako jednostkę miary powierzchni i co ważniejsze, jako jednostkę gospodarczą to zagrody stanowiły ostatni najmniejszy, rzecby można, ułamek tej jednostki samoistnie zagospodarowany. Ale i sam łan, a nawet wyjątkowo dwa łany, które kmieć czasami posiadał, nie były znowu największą, jedyną gospodarczą jednostką. Większą było „sołtystwo“ — nie dwór, jakbyśmy się mógli spodziewać, sądząc z czasów późniejszych. Sołtys, aczkolwiek nie jedynie, jak to zaraz zobaczymy, był wszakże głównie wyposażony ziemią. Dostawał on zazwyczaj dwa, trzy do czterech łanów, ponad tę liczbę nie bardzo już wykroczyć można. Bywały wprawdzie i większe jeszcze sołtystwa, ale w każdym razie należy przyjąć, że cztery łany były granicą jego rozmiaru. Dwa łany wszakże należałoby może przyjąć jeśli nie za najczęstszy, to w każdym razie za częsty, dość zwykły rozmiar sołtystwa, było więc ono w takim razie dwa razy większe od gospodarstwa kmiecego. Ciekawem jest, czy przy wydzielaniu gruntów na sołtystwo nie da się zauważyć jakiś stały sposób obliczania, jakiś proceder, obowiązujący zwyczajowo dla stron obu? Otóż na to pytanie dosyć trudno odpowiedzieć. Przynajmniej wprost nie mówią o tem przywileje lokacyjne. Z zestawienia i porównania ogólnej liczby łanów sołtystwa możnaby przypuścić, że często obowiązywał dziesiąty procent t. j. jeśli np. wieś liczyła łanów dwadzieścia, sołtystwo liczyło ich dwa — ale nie zawsze da się ów stosunek zauważyć — tak, iż można go zaznaczyć, ale nie można twierdzić, że był on powszechnie i jedynie znanym i uznanym. Jaśniej się

przedstawia kwestya położenia owych łanów sołtysich. Mogły one leżeć mianowicie albo razem z łanami kmiecymi, t. j. w trzech polach — albo mogły stanowić odrębny, zamknięty kompleks gospodarczy, poza owym podziałem na trzy pola. Otóż powiedzieć trzeba, że zwykle leżały razem z łanami kmiecymi w trzech polach. Tam, gdzie kmieć miał trzecią część łanu, t. j. dziesięć, piętnaście lub dwadzieścia morgów w stosunku do jakości łanu, tam sołtys miał albo po całym łanie, albo po morgów dwadzieścia i czterdzieści. To zależało już oczywiście od tego, czy sołtys miał dwa czy trzy łany lub więcej. Czasem wszakże było inaczej, a mianowicie część łanów sołtysich leżała razem z kmiecymi, np. jeden łan lub nawet więcej leżał przy samem sołtystwie i stanowił odrębny i zamknięty gospodarczy kompleks. Z tego, co o sołtystwie powiedziałem, można już mówić, że w znacznej mierze zastępował on późniejszy folwark — rodzi się wszakże pytanie: czy naprawdę w takich wsiach nowo lokowanych na prawie niemieckiem nie było wcale folwarków i gruntów folwarcznych? Otóż jeśli wieś była królewską lub kościelną, zazwyczaj folwarku nie było — jeśli zaś była szlachecką, bardzo często znajdował się on we wsi — ale regułą to wcale nie było. Czy jednak był lub nie — bo to już zależało od miejscowych stosunków, w każdym razie był on nieznacznych rozmiarów, zajmował zwykle nie więcej nad parę lub kilka najwyżej łanów, słowem tam, gdzie był, nie przenosił jego obszar w zwykłych warunkach obszaru sołtystwa, zwykle zaś i tak bywało, że sołtystwo mogło być od folwarku znaczniejsze.

Podany tutaj obraz wsi lokowanej w Polsce na prawie niemieckiem nietylko że się różni zasadniczo od wsi polskiej dzisiejszej, ale w głównych, zasadniczych rysach zgadza się z nią zupełnie. I tu i tam podział na trzy pola — i tu i tam zagrody — jedna tylko różnica musi każdego uderzyć i zastanowić: a mianowicie brak pól folwarcznych, które później tak dużo zajmują miejsca w każdej wsi polskiej. Te różnice wytworzyły już późniejsze sto-

sunki, była to zmiana, która się też dokonała w obrębie wsi lokowanej na prawie niemieckiem i której punktem wyjścia były stosunki wsi owej; różnice więc polskiej wsi późniejszej bynajmniej nie przeczą temu, że pochodzi ona od tej właśnie, którą poznaliśmy.

Łany, które dostawał sołtys i kmiecie, a także zagrody, słowem cały ten podział wioski, o jakim mówiłem, służył za podstawę do umowy o czynsze i powinności, które za używalność ziemi mieli składać sprowadzeni osadnicy. Występuje przedewszystkiem sołtys przy samej umowie, tak dobrze u nas w Polsce, jak i wszędzie gdzieindziej. Panujący, biskup, opat, lub wreszcie możny jaki pan, słowem właściciel ziemi szukał kolonistów, ale nie umawiał się z każdym z nich z osobna. W imieniu kolonistów występował i umawiał się jeden — późniejszy sołtys, z nim przychodziło do zawarcia i spisania umowy. Podobnie przecież działo się do niedawna jeszcze, a może i dziś jeszcze dzieje się w Królestwie Polskiem. Tylko jeśli idzie o rozparcelowanie majątku, oczywiście przedsiębiorca, który kolonistów dzisiaj dostarcza, nie zostaje sołtysem, jego rola ogranicza się do sprowadzenia kolonistów.

Dawniej było inaczej. Zazwyczaj ten, który kolonistów wynajdywał i zmawiał, stawał się, jak przed chwilą powiedziałem, sołtysem. Sama ta nazwa jest spolszczeniem zresztą tylko nazwy niemieckiej „*Schulthess*“, po łacinie zaś nazywał się on *scultetus*. Ten sołtys miał rozliczne prawa i przywileje. Jak już wiemy, był on pośredniczącem ogniwem między panem włości, dziedzicem, a kolonistami. Pan ów, dziedzic, osobliwie jeśli nim był kościół, posiadał sam liczne przywileje, przedewszystkiem zaś miał sądownictwo nad ludnością, na jego ziemiach osiadłą, choćby z samego tytułu lokacyjnego, którego mu udzielił panujący. Z chwilą lokacyi ustępował on znaczną ich część sołtysowi i kolonistom. Sołtys, jako zastępca dziedzica, sprawował sądy wraz z ławnikami, wybranymi z pośród kolonistów, sądził on wraz z nimi rozliczne kategorye spraw cywilnych i kar-

nych, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, z zastrzeżeniem tylko niektórych dla pana. Dziedzic osobiście lub jego wysłannik, zjeżdżał na ich sądzenie trzy razy do roku i wówczas sołtys był obowiązany razem z kolonistami przyjąć go i ugościć. Zwykle przygotowywano dla niego t. zw. *„prandium"*, po polsku w późniejszych dokumentach „obiedne", koloniści zaś dwa pozostałe. To ugoszczenie, t. j. dostarczenie wszelkich potrzeb zwykle przez jeden dzień, później zamieniano na roczną opłatę, którą sołtys i kmiecie uiszczali. Ówczesne kary sądowe składały się w większości wypadków z kar pieniężnych, otóż przychodziło do ich podziału między dziedzicem, sołtysem a poszkodowanym. Sołtys miał prawo do pobierania trzeciej ich części według powszechnej zasady przyjętej w Niemczech. Prócz tego dochodu, który był znacznym, miał jeszcze sołtys i inne. Należał do niego dochód z szóstego, a czasem z dziesiątego łanu, a prócz tego dochód z pewnej ilości zagród, oraz karczma, tj. prawo pędzenia piwa, wreszcie miał często bardzo kuźnię i piekarnię. Posiadał on je całkowicie, albo pobierał z nich część jakąś czynszu, zazwyczaj także trzecią. Miał też prawo polowania, łowienia ryb, pobierał również część dochodów za używalność lasów, którą składali nowi osadnicy. Za to wszystko był sołtys obowiązanym oczywiście do pewnych usług wobec dziedzica, do świadczenia mu t. zw. po łacinie *„honores"*, musiał on jeździć np. z listem i wypełniać pewne, mniej uciążliwe zlecenia i posługi — ale najważniejszym jego obowiązkiem był obowiązek stawienia się na wyprawę wojenną, ile razy zaszła tego potrzeba. Było to wszystko szeroko i ściśle omawiane w lokacyjnej umowie; jakość pancerza, broni, z którą miał się stawić, ilość pachołków, których miał z sobą przywieźć, a przedewszystkiem wartość konia były należycie wyszczególnione. Krótki ten przegląd praw i obowiązków sołtysa aż nadto wyraźnie wskazuje, jak ważną on odgrywał rolę, jak ważnym był czynnikiem przy lokacyi wsi na prawie niemieckiem, którą do skutku przyprowadzał.

Sołtys umawiał się tylko, jak wiemy, w imieniu kolonistów, którzy oczywiście musieli odgrywać przy każdej lokacyi najważniejszą rolę. Przywilej uwalniał ich przedewszystkiem od wszelkich obowiązków, ciążących na miejscowej — w naszym wypadku — na polskiej ludności; nazywało się to uwolnieniem od prawa polskiego. W starszych przywilejach zazwyczaj następowało wyliczenie całego szeregu rozlicznych danin, oraz powinności na rzecz panującego i jego urzędników, do których koloniści nie byli obowiązani, a wreszcie uwolnienie od sądownictwa księcia i tych, którzy z jego ramienia sprawowali sądy. Uwolnienie to było nader obszerne, tak że powiedzieć można: bez mała nowi osadnicy byli uwolnieni od wszystkich ciężarów, prócz paru np. i w Polsce, tak jak na Zachodzie, panujący zastrzegał sobie powoływanie osadników pod broń, jeśli nieprzyjaciel był w kraju, zwykle byli oni także obowiązani do naprawy grodów obronnych, choć ze znacznemi ustępstwami i ograniczeniami, czasem wreszcie panujący zastrzegał sobie t. zw. sep, t. j. opłaty w zbożu, czasem znowu poradlne lub podworowe, tj. jedną z najbardziej powszechnych a najmniej uciążliwych danin — a także apelacyę od sądów sołtysa lub nawet część spraw, których rozstrzygnięcie zwykle sobie zachowywał. Lokacya wsi była tedy na małym obszarze, tj. w granicach jednej wioski, zupełnym przewrotem, wyjęciem z pod prawa powszechnego, które obowiązywało w kraju, a nadaniem prawa innego, które z sobą przynosili obcy koloniści.

Usunięcie dawnych praw i zwyczajów było niejako przygotowaniem terenu dla nowej organizacyi prawnej, podobnie jak wykarczowanie lasu było robotą przedwstępną a konieczną przed założeniem samej osady. Po eksempcyi następował szereg warunków, na których mieli się koloniści osiedlić, a co do których rozstrzygała umowa. Więc tedy w pierwszym rzędzie umawiano się o lata wolności, o tak zwaną „wolniznę", jak ją nazywają polskie źródła XV wieku, bo nie odrazu po dokonanej loka-

cyi koloniści mieli opłacać czynsz i pełnić różne powinności. To jest zrozumiałem: musieli przecież dom zbudować, rolę pod uprawę przysposobić, postarać się o inwentarz. Nie przypędzali oni z sobą z dalekich Niemiec bydła — to pewno, bo rasy rogatego bydła i koni nie są u nas te same, co w Niemczech, ale czy inwentarza dostarczał na miejscu właściciel, czy go sobie kolonista kupował? Co do tego tak ważnego punktu milczą przywileje lokacyjne, sądzę, że sami koloniści musieli go sobie zakupywać, lub od dziedzica, a nawet choć rzadziej i od sołtysa dostawać. Tak czy inaczej zresztą musieli się nowi osadnicy zagospodarować, na co potrzebowali przecież czasu. Trochę tylko dziwić może znaczna liczba tych lat wolności. Bardzo często, jeśli nie zazwyczaj, ilość ich wynosiła lat dwadzieścia, a nawet dwadzieścia i sześć, jeśli to była wieś nowa, założona „na surowym korzeniu“, t. j. świeżo wytrzebiona z puszczy, dziesięć, jeśli to była wieś już istniejąca, a na nowo tylko osadzona, czasem znowu jakaś liczba pośrednia, jeśli wieś była na nowo zakładana, ale nie potrzeba było czarnej, jak ją nazywano, puszczy trzebić. Zdarzało się wszakże później, że redukowano lata wolności zazwyczaj do lat trzech. Reguła jest tutaj zresztą jasną, choć także nie bez częstych wyjątków, a mianowicie lata wolności prawie zawsze są o połowę mniejsze, jeśli chodzi o wieś, już dawniej istniejącą.

Po upływie tych lat trzeba było, acz nie bez żalu, zacząć płacić czynsz, „płat“, jak go nazywają pomniki prawodawcze polskie z XV wieku, i spełniać inne powinności, których wymagała pierwotna umowa. Przedewszystkiem koloniści płacili ów tyle pożądany czynsz pieniężny w gotówce. Oczywiście zupełnie jednakowym i równym wszędzie być on nie mógł, warunki bowiem fizyograficzne, t. j. urodzajność gleby, zbyt są odmienne, ale śmiało powiedzieć można, że dosyć stale i w znacznej bardzo większości wypadków od XIII-go do XV-go wieku wynosił on jednego fertona, to jest czwartą część grzywny, czyli, jak w Polsce, gdzie grzy-

wna wynosiła 48 groszy, wynosił 12 groszy. To jest cyfra, którą można przyjąć za przeciętną i którą obliczenia statystyczne stale jako taką podają; dodać wszakże należy: więcej stale dla Wielkopolski, niż dla Małopolski, gdzie czynsz jest nieco wyższy, wynosi bowiem zwykle ferton lub szesnaście albo ośmnaście i dwadzieścia groszy. Uważniejszy czytelnik może się zapytać: z jakiego to łanu mianowicie ten czynsz opłacali kmiecie, z mniejszego, chełmińskiego i flandryjskiego, czy z większego, frankońskiego? Otóż, co do tego tak się rzeczy mają: przywileje lokacyjne w większości wypadków nie mówią, z jakiego łanu czynsz ma być pobierany, tam zaś, gdzie wymieniają, że łan jest mniejszy lub większy, tam się da zauważyć oczywiście podniesienie czynszu — ale nie takie, jakiego z góry moglibyśmy oczekiwać. Nadwyżka jest bardzo nieznaczna, albo jej nawet niema zupełnie, — choć tutaj wchodziła w grę i mniejsza urodzajność łanu frankońskiego, na który zresztą rzadziej mierzono wioski, tak że powiedzieć można: czynsz w zwykłych warunkach z łanu mniejszego wynosi czwartą część grzywny z małą przewyżką tylko, jeśli łan jest większy. Kmieć wszakże nie płacił całego czynszu jedynie tylko w pieniądzach. Na zasadzie lokacyjnej umowy składał on także czynsz w naturze, bez czego ówczesne gospodarstwo obejść się nie mogło. Przedewszystkiem wchodzi tutaj w rachubę czynsz, składany w zbożu, którego to zboża produkowali koloniści więcej, a może i w lepszem ziarnie, w każdym razie sądzę, że produkowali więcej pszenicy, niż miejscowa ludność rolnicza. Zwykle składali nowi osadnicy z łanu od jednej do trzech miar (korcy?) trojakiego ziarna: tj pszenicy, żyta i owsa — to był zwyczaj powszechny. Prócz tego jeszcze składał kolonista dorocznie pewną ilość jaj, zwykle po dwadzieścia, lub po pół kopy i parę kur lub kapłonów. To były główne jego zobowiązania, które składał zwykle na św. Marcina, w jesieni, — jaja

tylko i kapłony składał na wiosnę. Prócz tego dawał lub opłacał kolonista jeszcze zwykle w dwóch trzecich obiedne, o którem już wspominałem, płacił też jeszcze drobniejszy dodatek niejako do czynszu w naturze lub pieniądzu za używalności leśne, stosownie do umowy, jeżeli te używalności w ogóle nie były zupełnie darme, bo i tak nieraz bywało. Dodawszy do tego dziesięcinę składaną albo w pieniądzach, albo w zbożu (co było zawsze postępem tam, gdzie ją dawniej składano w łupieżach zwierzęcych), mielibyśmy w najogólniejszych tylko rysach skreślony obraz, co kmieć uiszczał w końcu XIII i XIV wieku.

Po kmieciach drugą warstwę ludności rolniczej stanowili, jak wiemy, zagrodnicy. Otóż ile opłacał zagrodnik, o wiele trudniej powiedzieć, trudniej najpierw dlatego, że zagroda nie jest tak stałą jednostką, jak łan, zazwyczaj też nie wiemy, ile ona wynosiła, wiemy zaś, że bywały i zagrody większe, wynoszące po kilka, a nawet czasem po kilkanaście mórg, bywały też i bardzo małe, które, jak wiemy, liczono na pręty. W jakim był stosunku czynsz do wielkości zagród i jak się zmieniał — trudno określić. Znamy tylko, jak wspomniałem, czynsz i to dosyć rzadko, który jest dosyć nierówny, a nie wiemy, jakiej jednostce obszaru on odpowiada.

Wszystkie te ciężary, związane z posiadaniem łanu, lub zagrody, jak czynsz w gotówce, zboże etc. etc., nie wyczerpują wszelako obowiązków kmiecia i zagrodnika. Prócz nich były i inne jeszcze powinności, które na nich ciążyły, a mianowicie kmieć i zagrodnik musieli odrabiać to, cobyśmy mogli nazwać późniejszą nazwą: pańszczyzny. Co do owej pańszczyzny, to dwa są w ogóle sposoby jej odrabiania, albo na dni albo na ilość pracy, — w naszym wypadku na obszar obrobionego pola dworskiego — obydwa są u nas znane i obydwa prawie to samo oznaczają. Zazwyczaj kmiecie mają odrabiać z łanu dwa dni do roku albo trzy, rzadziej cztery, dwa do trzech dni więc można przyjąć za przeciętną. Mają oni przez te dni obrobić, t. j. zaorać

pola dworskie trzy razy do roku: na wiosnę, lato i jesień, prócz tego zaś ciężył na nich jeszcze obowiązek skoszenia siana na łąkach. Często nie mówią przywileje lokacyjne o ilości dni, ale wymieniają ilość ziemi do obrobienia z jednego łanu, którą mierzą znowu albo zwykłą miarą powierzchni, albo na ilość wysianego ziarna a na wozy jeśli chodzi o siano. Wynosi ona zwykle od jednego do trzech morgów, lub od jednego do trzech korcy (*mensura*). Robota opisana jest szczegółowo, a więc mają kmiecie zwykle zaorać, potem ziarnem właściciela obsiać role folwarczne ozime i jare, następnie mają je zawłóczyć, wszystko to nie porzuciwszy raz zaczętej roboty; siano zaś mają skosić i podobnie jak zboże zwieść na folwark, a ponieważ, jak wiemy, nie wszędzie znajdowały się folwarki dworskie w tej wiosce samej, więc przywileje z góry zastrzegają sobie te robocizny, jeśli folwark będzie założony, tam zaś, gdzie folwark znajdował się w sąsiedniej najbliższej wiosce, tam kmiecie mieli obowiązek zwieźć zboże do niego. Sądzę, że owe dwa dni do roku z łanu odpowiadały zazwyczaj dwom morgom, czyli: jeden dzień odpowiada jednej obrobionej mordze folwarku, trzeci zaś dzień był przeznaczony na kośbę siana. Taki musiał być prawdopodobnie stosunek wzajemny tych dwóch sposobów obliczeń robocizny kmieci. Prócz tego wszystkiego, kmiecie i cała ludność wioski, zdolna do pracy, była jeszcze obowiązaną do wychodzenia do żniw dworskich przez parę dni. Było to t. zw. „pomocne“ lub „tłoka“. Wedle starego zwyczaju germańskiego miał ich dwór żywić, dostawali oni mianowicie pewną ilość słoniny i pewną ilość piwa, zwykle z góry określoną. Takie były robocizny kmieci, jak widzimy bardzo nieznaczne — łatwo powiedzieć dlaczego tak nieznaczne? Bo dworskich folwarków albo nie było wcale, albo jeśli i były, jak n. p. w dobrach szlacheckich, to były bardzo małe i drobnych rozmiarów, gospodarstwo też było oparte przedewszystkiem na czynszu i to jest jego wybitnem znamieniem w tej epoce. Daleko mniej wiemy o robo-

ciznach zagrodników, gdyż przywileje co do tego punktu są bardzo małomowne, trzeba tylko przyjąć za pewne, że odrabiali oni więcej, niż kmiecie, zagrodnicy bowiem to przecież właściwi stali robotnicy wiejscy, z natury więc swego położenia musieli mniej płacić a więcej odrabiać.

Krótki ten opis wsi polskiej, zaznaczający tylko najważniejsze rysy jej ustroju, pokazuje nam zupełnie jasno i wyraźnie, jak dalece położenie ludności rolniczej ówczesnej było dobrem i korzystnem. Nie znamy jeszcze budżetu ówczesnego kmiecia, do którego zestawienia należałoby znać ceny łanów (któreby się zebrać zresztą dały), na zasadzie wszelako ogólnego wrażenia, opartego na wczytaniu się w źródła, możemy powiedzieć, że czynsz z łanu nie był wcale wygórowanym, nie były też wygórowane daniny w zbożu, a wiemy, jak małemi były robocizny, łan zaś był co najmniej włóką trzydziestomorgową, do której należał kawał łąki, używalności leśne i pastwisko, a zazwyczaj należał także i ów „przymiarek“, który nierzadko wynosił kilka, a nawet kilkanaście morgów, tak że wszystko razem stanowi obszerne i dostatnie gospodarstwo. Nie mamy inwentarzy chłopskich z XIV wieku, ale z końca tego stulecia lub z początków XV trafia się czasem zapiska w księgach sądowych, wyliczająca „dobytek“ kmiecia. Wszędzie widzimy w jego posiadaniu po dwie i więcej pary koni, po kilka i kilkanaście sztuk rogatego bydła, a oprócz tego jeszcze owce, kozy i drób, oraz spore zapasy zboża; zagrabienie tego dobytku liczy on sobie jako szkodę kilku grzywien, co na owe czasy było sumą znaczną, co więcej, spotykamy się raz pod koniec XIV w. w Wielkopolsce z kmieciem bogaczem, którego majątek wynosił aż sto grzywien! Wszystko to świadczy o rzeczywistej zamożności i dobrobycie kmiecia, dobrobycie, o którym, niestety, tak rzadko się słyszy w dziejach polskich, a o którym takby się słyszeć pragnęło i słyszeć należało.

Wioski, zakładane lub przenoszone w ciągu XIII i XIV wieku, to jak wiemy, wioski osadzane na pra-

wie niemieckiem, magdeburskiem, średzkiem, flandryjskiem, lub jakiem kto chce — ale nie polskiem, z pod którego przecież są wyjmowane. Koloniści, którzy w nich zamieszkują, to początkowo obcy przybysze z Niemiec, skąd przynoszą swój język, swój obyczaj, swoje prawo, swój pług żelazny lepszej konstrukcyi i wreszcie swoje ulepszone sposoby uprawy. Możemy sobie z łatwością wystawić i dziś jeszcze niestety, jak dalece ów napływ żywiołów obcych cywilizacyjnie wyższych był groźnym i niebezpiecznym dla Polski ówczesnej. Żelazny pług, z którym przyszli obcy przybysze, bywa czasem groźniejszym, niż miecz żelazny. Zdobyć on Polskę mógł, tak jak zdobył całe obszary słowiańskie nad morzem Bałtyckiem, tak jak zdobył część Ślązka, tej prastarej polskiej dzielnicy. A przecież się to nie stało! Więc dlaczego ów wielki ruch kolonizacyjny niemiecki nie wyparł wówczas zupełnie polskiego żywiołu, a czemu pozostawił tylko organizacyę swoją i swoje formy osadnicze, a nie pozostawił z niemi razem na zawsze niemieckich osadników? Oto pytania pierwszorzędnej dla nas doniosłości. Fakt jest, że Polska się oparła tej fali, że nie została zatopioną, — wiemy o tem wszyscy, — przyczyny tego faktu wszakże nie tak łatwo dadzą się ująć i określić, są zanadto zawiłe i różnorodne, — badać je tu wszystkie nie miejsce; to jednak każdy odrazu pojmie i oceni, że sprawą pierwszorzędnej doniosłości w tej walce, — bo walką nazwać ją można, aczkolwiek nie zawsze świadomie prowadzoną, — było, żeśmy podówczas już mogli przejąć i przyswoić sobie ową importowaną nową organizacyę i żeśmy wskutek tego sami w całym tym ruchu mogli wziąć udział. Przypatrywanie się mu bierne, tkwienie wśród tych samych dawnych, pod wielu względami zacofanych warunków, byłoby wprost zgubne, bo byłoby się równało zepchnięciu na poślednie stanowisko. Trzeba było koniecznie ruszyć się z miejsca i pójść także razem naprzód, i to się właśnie stało na szczęście.

Pierwsze osady nie flandryjskie, ale niemieckie pojawiają się na Śląsku, jak wiemy, w pierwszych dziesiątkach lat XIII wieku. Mało co później, a powiedzmy nawet prawie równocześnie pojawiają się one w Małopolsce i w Wielkopolsce. Książęta, im który bardziej gospodarny i zapobiegliwy (np. książę śląski i czas jakiś krakowski, Henryk Brodaty), tem łacniej sprowadzają obcych kolonistów, bo tem więcej chodzi im o zakładanie nowych miast i wiosek. Oczywiście ci pierwsi osadnicy są z pochodzenia wyłącznie Niemcami, są nimi i następni; rzec też śmiało można, przez wiek XIII szczególniej w pierwszej jego połowie, przybywają do Polski prawie sami Niemcy i żywioł niemiecki nietylko sadowi się w miastach, ale także, jak to już wiemy, dosyć licznie i po wsiach. I tam było też słychać język nowych przybyszów. Żywioł niemiecki nie przestaje napływać i w ciągu XIV wieku; idzie on od coraz to bardziej zniemczałego Śląska, idzie i od również coraz bardziej niemieckich Niemiec północnych: Pomorza i Brandenburgii, a idzie wreszcie i od południa, t. j. od Spiżu na „Podgórze“, gdzie się także Niemcy gromadnie osiedlili. A przecież, jeśli można było powiedzieć, iż prawie każdą wieś osadzoną w ciągu XIII-go wieku na „prawie niemieckiem“ istotnie zamieszkują Niemcy, a wyjątkowo tylko czasem i Polacy, to o wiele trudniej to samo powtórzyć o XIV wieku. Czem się to dzieje. Odpowiedź nie trudna, bo wówczas już „prawo niemieckie“ nie jest wcale synonimem niemieckich osadników, mogli to być i byli z pewnością, jak wiemy, Polacy osadzani na niemieckiem prawie. Ale dlaczego w takim razie panujący i biskupi polscy nie zamieniali od początku starych polskich osad na nowe, zostawiając w nich dawnych osadników na innych tylko warunkach i na nowem prawie? Odpowiedzieć na to pytanie można: bo ta ludność polska z samego początku nie była tak dobrym ekonomicznie materyałem, jak obca napływowa. Tak było czas jakiś istotnie, ale dosyć wcześnie nauczyła się ona z pewnością tyle, że nie była

gorszym materyałem od niej. Nie o to wszakże jedynie chodziło i nie był to jedyny wzgląd, dla którego nie odrazu ludność miejscowa mogła wziąć czynny udział w owym wielkim ruchu kolonizacyjnym.

Prócz tego był jeszcze i drugi wzgląd bardzo ważny, który należało przełamać.

Dla panującego przedewszystkiem, a także i dla kościoła, daleko prościej i bezpieczniej było ze względów prawnych uciec się do obcego kolonisty, sprowadzić go i osadzić na innem prawie, równocześnie wyzwalając z pod krajowego, niż zrobić to samo z miejscowym, powiedzmy, polskim chłopem. Niemieckiego kolonisty nikt nie potrzebował od niczego uwalniać, ani zmieniać jego stanu prawnego, jeśli tak powiedzieć wolno, nikt się go bowiem nie pytał, skąd przychodzi i czy ma prawo osiedlać się, z góry bowiem każdy wiedział, że nikt o niego reklamować nie będzie. Inaczej musiało być z miejscową ludnością. Tę nim się osadziło na innem prawie i uwolniło od obowiązków, które z dawien dawna spełniała, trzeba było uwolnić, czyli zmienić jej położenie, co nie zawsze było na rękę tym, którzy zakładali wioski na nowem niemieckiem prawie. Takie masowe uwalnianie ludności miejscowej i pozostawienie jej na tem samem miejscu było trudnem, bo na tej ludności właśnie opierał się cały system administracyjny, ta ludność, a nie inna, miała właśnie obowiązek zadosyćuczynienia wszelkim potrzebom ówczesnego państwa, a nietylko opłacania czynszu wedle swych sił ekonomicznych. Ona to miała obowiązek dostarczania podwód księciu i jego służebnikom, ona to naprawiała grody, ona wreszcie, co najważniejsze, wchodziła w skład organizacyi opolnej i grodowej. Uwolnić ją więc od tego wszystkiego, znaczyło zachwiać bardzo silnie podstawami organizacyi samego państwa, znacznie ją przeistoczyć i przeobrazić, a to wcale pożądanem nie było i być nie mogło. To wprawdzie robili w znacznej mierze i koloniści niemieccy, ale ten ich wpływ na miejscowy ustrój społeczny był mniej widocznym i przyznać trzeba, nie

tak radykalnym i bardziej pośrednim. Stało się jednak to, co się stać musiało. Przemiana nastąpiła, ale powoli, miejscowa ludność rolnicza wzięła także udział w tym całym ruchu osadniczym i chcąc nie chcąc dopomogła także w znacznej mierze do przeobrażenia dawnej Polski, ale nie stało się to odrazu i za jednym zamachem, i nie stało świadomie, bo ruch ten wyrósł nad głowy tych, którzy go rozpoczęli i wywołał skutki, z których jasno nie zawsze musieli sobie zdawać sprawę ci, którzy go wywołali.

Z początku, jak wspominałem, panujący i kościół sprowadzali kolonistów Niemców. Nierzadko książę, wydając przywilej lokacyjny, zastrzegał nawet, że sołtys nie ma prawa przyjmować i godzić ludności rolniczej polskiej nieswobodnej, czasem pozwalał tylko swobodnym brać w niej udział, a czasem wreszcie nie pozwalał w ogóle osadzać Polaków na niemieckiem prawie. Wszystko to jest łatwo zrozumiałem, bo, jak wiemy, nie chciał on dozwalać na bezprawne przenoszenie się ludności, albo nie chciał wyłączać z grodowego i opolnego związku nawet tej części ludności, która miała prawa swobodnego przenoszenia się z miejsca na miejsce. Te zastrzeżenia nie były wszakże bardzo skuteczne i wcale nie były powszechne, już bowiem nawet w pierwszej połowie XIII wieku znajdujemy od nich wyjątki: książę mianowicie nierzadko udziela przywileju wprost przeciwnego tym zastrzeżeniom i pozwala na osadzanie „jakiegokolwiek języka ludzi“, a więc i Polaków, których zresztą często przywilej wymienia. Przyczyna tego, na pozór trudnego do objaśnienia faktu jest w gruncie rzeczy zupełnie jasna i prosta Oto zapotrzebowanie kolonistów, zapotrzebowanie pracy ludzkiej było większe, niż liczba tych kolonistów Niemców, których w danym wypadku można było dostarczyć, słowem, formułując to w języku ekonomii, popyt był większy niż podaż i przed tym faktem wszystkie inne względy ustąpić musiały. Wskutek tego to właśnie objawu dosyć już wcześnie spotykamy polską ludność rolniczą wciągniętą do kolonizacyi i biorącą w niej udział.

Nie wszystkie warstwy tej ludności wszakże mogły się zrazu stawić na zawołanie do kolonizacyi, to zależało oczywiście od ich położenia prawnego. Najłatwiej oczywiście przyszło to tej warstwie, której stanowisko prawne było najbardziej zbliżonem do stanowiska nowych przybyszów, a więc przedewszystkiem tym, którzy mieli prawo swobodnego przenoszenia się z miejsca na miejsce i którzy tem samem nie byli przywiązani, przypisani do gleby. Taka klasa, jak sądzę, istniała w Polsce w XIII wieku. Pojęcie wolności jest wprawdzie bardzo trudnem w gruncie rzeczy do określenia w ciągu średnich wieków, bo nie zawsze te same znamiona składają się na nią, z tem wszakże zastrzeżeniem powiedzieć można, że to byli wolni ludzie i tak nawet są w źródłach nazywani. Ci to właśnie wolni ludzie musieli pierwsi w kolonizacyi wziąć udział. Ale, jak zwykle w takich razach bywa, ruch ten, którego punktem wyjścia były stosunki ekonomiczne, nie zatrzymał się na jednej tylko warstwie, ale udzielił się także innym. Jak się to stało, nie zawsze możemy dokładnie wyśledzić we wszystkich szczegółach — nie o szczegóły wszakże idzie w niniejszym odczycie, wystarczy powiedzieć najogólniej, że i ludność rolniczą, pozbawioną przywileju swobodnego przenoszenia się, a więc ludność niewolną ruch ten powoli ogarnął — na to zresztą mamy dowody. Ludność niewolna coraz bardziej musiała zbiegać, coraz trudniej ją było utrzymać, a zresztą ciągłe zapotrzebowania swobodnej, a przynajmniej swobodniejszej pracy, zrobiło swoje. Okazało się nieraz korzystniejszem uwolnić nawet dawnych przypisańców i na nowych warunkach osadzić, niż na dawnych trzymać. Powoli więc ruch kolonizacyjny począł oddziaływać na miejscową ludność. Początkowo niechętnem okiem patrzyła ona na obcych przybyszów i na sąsiednią wieś lokowaną na prawie niemieckiem. Nietylko zazdrość była tego przyczyną. Obcy przybysze wskutek samego faktu lokacyi byli uciążliwymi dla tubylców, rozrywali dawną organizacyę — nie było np. można kolonistom Niemcom zda-

wać laski opolnej lub szukać u nich „śladu“ przestępcy albo zdawać podwody, zwykle od wsi do wsi prowadzonych. To wszystko było nieraz powodem sporów i niezadowolenia — wkrótce jednak pokazało się, że oddziaływanie tych nowych osad na miejscowe stosunki, jak już wspomniałem, było zbawiennem i wyszło na korzyść miejscowej ludności.

Instytucya, która tak jest ściśle skonstruowaną, iż nie mieści w sobie i mieścić żadną miarą nie może odmiennych nieco stosunków, nie jest zdolną do dalszego rozwoju, bo objęcie odmiennych, choć pokrewnych stosunków, staje się punktem wyjścia nieraz dalszych przemian i przeobrażeń. Podobnie się rzeczy miały z naszą organizacyą wsi, osadzonych na prawie niemieckiem. Dostarczyły one z początku i na długo gotowej formy dla ludności miejscowej, która skorzystała z tego i w tę formę gotową weszła. Jako kmiecie, a częściej daleko jako zagrodnicy, w XIII wieku osiedlali się w nowych osadach Polacy. Później już w XIV wieku całe wioski oni bez podziału zaludniali: sołtys, kmiecie, zagrodnicy, karczmarze — wszystko to rekrutowało się z miejscowej ludności. Wszystko było tak samo — a przecież nie tak samo. Musiały się wkraść pewne odmiany, choć zrąb zawsze ten sam pozostał: cała, rzecby można, strona materyalna, podział pól, łan, jako jednostka miary etc. etc. — to wszystko zmianom nie bardzo mogło uledz ale nieraz mogło się zmienić i zmieniało istotnie stanowisko prawne osadników. Zdarzało się to w tych mianowicie wypadkach, w których chodziło np. o reorganizacyę już istniejącej polskiej osady. Wówczas bardzo często właściciel wioski uwalniał wprawdzie swych dawnych poddanych od powinności i prestacyi, które dawniej na nich ciążyły, a to, aby tem łatwiej mogli uiszczać czynsz w gotówce i w zbożu, ale przecież z konieczności nieraz większy nacisk musiał kłaść np. na robocizny, ograniczał także ich prawa zbyt daleko idące, nie dawał sołtysa, a z nim i sądownictwa etc. To wytworzyło w ciągu XIV wieku, jak łatwo spostrzedz, formę

pośrednią wsi osadzonych, jakby powiedzieć można, na niezupełnem niemieckiem prawie. To niezupełne prawo niemieckie nie było czem innem, jak tylko zmienionem pod wpływem nowych stosunków starem prawem polskiem, osady też, które je miały, nazywały się osadami *in jure polonico.* Nazwa ta oznacza przedewszystkiem wieś niemającą niemieckiego prawa, jest też używaną jako przeciwstawienie do wsi, które to prawo miały. Samo wszakże „prawo polskie“ w tym wypadku uległo zmianie. Wieś na prawie polskiem z XIV wieku, osobliwie w drugiej połowie, za rządów Kazimierza W. nie oznacza w ogromnej większości wypadków bynajmniej wsi na prastarem, książęcem prawie, jak jeszcze np. w XIII wieku, kiedy obie te formy osadnicze: obca, niemiecka i polska, miejscowa, nie łączyły się z sobą wcale. Nie jest to wieś zupełnie nienaruszona, jeśli tak powiedzieć wolno, w której się nie zmieniły stosunki od prastarej piastowskiej doby, ale wieś osadzona na takiem połowicznem prawie, korzystniejszem dla właściciela, który nieraz dążył do tego, aby prawo niemieckie zamienić na polskie, i jak to wiemy ze statutów Kazimierza W. istotnie zamieniał — Oczywiście nie chcę przez to twierdzić, że już wówczas nie było wsi mało albo i wcale nietkniętych nowymi stosunkami. Spotykali się jeszcze i adskryptycyusze, t. j przypisani do gleby, były i dawne wioski o rozrzuconych działkach i źrebiach — ale chodzi o to, że takie osady nie stanowiły już więcej typu ogólnego, że ich organizacya chyliła się do upadku i przeznaczoną była na zagładę, — to też ostatecznie zniknęła prawie zupełnie z powierzchni kraju. Było to niezbędnem, bo na to, aby się pojawiły nowe formy bytu, stare musiały ustąpić. Widzieliśmy, jak stosunki społeczne, niezwykle różnorodne, a nawet antagonistyczne w ciągu XIII a po części i XIV wieku poczęły tracić z czasem swoje ostre kanty, jeśli tak powiedzieć wolno, poczęły się układać obok siebie, potem coraz bardziej i przenikać wzajemnie, z czego powstała nowa forma i nowa klasa społeczna, jak ją śmiało nazwać można, a mianowicie po-

wstał kmieć polski: zamieszkały we wsi o takiem prawie połowicznem, bardzo już zbliżony swem stanowiskiem prawnem do kmiecia, osadzonego na jeszcze korzystniejszem, rzeczywistem niemieckiem prawie, a w każdym razie daleki od dawnego polskiego, niewolnego chłopa. Ten kmieć miał właśnie zapanować w całej Polsce, niestety tylko czas jakiś, za ostatniego Wielkiego Piasta i pierwszych Jagiellonów.

Nie można ukrywać: w tej całej przemianie wiele jest momentów ciemnych, wielu szczegółów brak, wielu rzeczy nie wiemy, ale najogólniejsze linie dadzą się mniej więcej zaznaczyć — a nam, na razie przynajmniej, o więcej nie chodzi. Bez przesady też już dzisiaj powiedzieć można, że w tej przemianie, w tem ukonstytuowaniu się nowej warstwy ludności rolniczej tkwiło w znacznej mierze rozwiązanie zagadki przyszłości. W owym kolonizacyjnym ruchu z XIII wieku nie trudno poznać pierwszego uderzenia potężnej fali, zwącej się nie inaczej, jak „pochód na Wschód", *Drang nach Osten*, który jeszcze dzisiaj odczuwamy. Nie dosyć było orężem podbić i ujarzmić Słowian nadbałtyckich, należało ich kraje zaludnić i skolonizować, i tego Niemcy dokonywały od XII w., t. j. od chwili, kiedy same wzmogły się ekonomicznie. Dziś ten wielki prąd dziejowy, dla nas zawsze tak groźny, bo go utrzymuje i popiera potężne państwo, kto wie czy się nie wyczerpał ekonomicznie, zbyt bowiem właśnie potrzebuje opieki i pomocy państwa,— wówczas był on wszakże w całej pełni swego ekonomicznego rozwoju i siły, to też Polska XIII i XIV w. miała przed sobą nielada zadanie do rozwiązania. Na szczęście rozwiązała je pomyślnie. Naturalnie bez strat się nie obeszło. Utraciła ona, nie zaraz podówczas, ale nieco później, wskutek tego ruchu swoje najdalej na zachód wysunięte dzierżawy plemienne, utraciła dolny Śląsk, ale się też i na tem skończyło. Germanizacya, która mogła iść razem z kolonizacyą na niemieckiem prawie, dalej wszakże nie poszła. Miasta spolonizowały się znacznie później, to prawda, ale wioski bardzo wcze-

śnie. Tak się zaś stało dlatego, że miejscowa ludność napłynęła niejako w tę początkowo cudzoziemską formę, z której powstał, jak wiemy, typ wsi polskiej. Polska mogła z tego wielkiego prądu osadniczego skorzystać, ale też mogła w jego falach sama pójść na dno, słowem kolonizacya była dla niej obosieczną bronią, wszystko zależało, czy zdoła ją opanować lub nie, opanować zaś w tym wypadku znaczyło wziąć samemu w niej udział, przyswoić sobie płynące z niego korzyści i pójść dalej swoją własną drogą.

Współczesne prawodawstwo Kazimierza W. i przywileje lokacyjne dają nam możność wniknięcia nieco bliżej i określenia szczegółów tego przedmiotu i położenia ówczesnego kmiecia. Więc naprzód w statutach wielkiego króla są ślady nowych stosunków i królewskiej ingerencyi — tylko nie biją one bardzo w oczy, dlatego też pominąć je łatwo. Kmieć ówczesny, bo tej nazwy jako najpowszechniejszej będę używać, miał już *de facto* przynajmniej prawo przenoszenia się, — statut próbował je nawet w pewnych wypadkach ograniczać, lecz nie zapominajmy, on je także wprowadzał i utwierdzał — posiadał też jeszcze kmieć z dawniejszych czasów pochodzące prawo odpowiadania przed sądem nietylko pańskim, lecz i królewskim, tylko, że dawniej miała je pewna kategorya rolniczej ludności, teraz obowiązek ten, a raczej przywilej, musiał się rozszerzyć na tę nową, powstającą klasę ludności. Jest to zresztą bardzo ciemny punkt naszej wewnętrznej historyi, który historycy prawa jak najprędzej powinni wyświetlić. Tutaj jedynie wystarczy stwierdzić, że już podówczas ogromna większość kmiecej ludności odpowiadała i pozywała przed sądami publicznymi, jeśli tak powiedzieć wolno, a nietylko przed patrymonialnymi, pańskimi. Ważne to są bardzo przywileje! Prócz nich wszakże Kazimierz W. stanowi z panami Rady, a więc za ich zgodą, że pan niema dziedziczyć po kmieciu i zabierać jego „puścizny“, ale spadkobiercą jest rodzina kmiecia, a dalej w Małopolsce i zdaje się w swej własnej Sieradzko-Łęczyckiej dzielnicy zrównał on

okup kmiecia z okupem osadnika na prawie niemieckiem i podniósł wysokość tej części okupu, którą pobierała rodzina zabitego kmiecia od jego zabójcy. Są to nader ważne zmiany, decydujące o nabyciu wolności prawnej. Szczególniej kwestya dziedziczenia po zmarłym kmieciu jest ważną, i co nas w pierwszej chwili zadziwić może, jest kwestyą, która w XIII i XIV w. na Zachodzie, np. we Francyi, odgrywała także znaczną, rolę. Od t. z. „*main-morte*“, t. j. „naszej puścizny“, uwalniano podówczas także masowo poddanych. To formułowanie prawne nowych stosunków, te reformy, jakby je nazwać można, nie mogły się obyć bez opozycyi i niezadowolnienia. Każdy głębszy przewrót wewnętrzny bez „tarcia“ i opozycyi przecież nie może się obejść. Nie mógł się więc obejść i nasz polski. Według bardzo wiarygodnej tradycyi Długosza, Kazimierz W. jest królem chłopków. Bronił on kmieci przed uciskiem panów — jak zapewnia nasz dziejopis — wysłuchiwał skargi, które przed niego kmiecie zanosili, rozstrzygał je na ich korzyść i szedł nawet jakoby tak daleko, że według słów Długosza, miał powiedzieć: „miej chłopie w kalecie ogniwo a na polu krzemień znajdziesz, łacno sobie z panem sprawiedliwość uczynisz, jeśli masz krzywdę“. Musiały więc starcia być ostre i krzywdy znaczne, skoro miały wywołać tę tak bardzo bezwzględną radę króla, szkoda tylko, że nie wiemy, o co właściwie chodziło w tem wszystkiem? Nie sądzę, aby chodziło o zwykłe przygodne jakieś gwałty i rozboje, przyczyny tego niezadowolenia i ucisku leżały głębiej, i szukać ich należy w owym ekonomicznym i społecznym przewrocie, który Polska wówczas przechodziła, i tu znowu tylko bliższe badania, których brak, mogłyby kwestyę zupełnie wyjaśnić, my zaś na jej zaznaczeniu musimy poprzestać.

Objawy, o których wspomniałem: prawodawcze formułowanie stosunków, które zmieniło życie, antagonizmy czy niezadowolnienia różnych warstw społecznych, wszystko to są, nie chcę powiedzieć „powierzchowne“,

ale zwierzchnie objawy głębiej tkwiących przyczyn. Faktem jest, że ów wielki ruch ekonomiczny, który dał początek obcemu osadnictwu, nie ustawał, przeobrażał się tylko i rozwijał dalej. Rozstrzygającem tutaj pozostawało zawsze to, że popyt na pracę był większy niż podaż, i w tym stosunku tkwił węzeł całej kwestyi. Polska stała otworem dla osadników obcych lub swoich i czekała, aby dla pracy ludzkiej zdobyć całe nieuprawne dotychczas obszary. Skoro się raz osadnicy znaleźli, musieli oni mimo trudności, które się nastręczały, zająć znaczne i korzystne w społeczeństwie miejsce — inaczej być nawet nie mogło.

Jak każdy wielki prąd tej natury, tak samo i nasz zresztą nie mógł nie mieć także stron ujemnych — byłoby to wprost niemożliwem. Miał je też i ruch osadniczy polski z XIV wieku i to nawet dosyć znaczne. Przedewszystkiem także „jak zwykle“ i ruch osadniczy współczesny miał pewną dążność do przerodzenia się w spekulacyę i gospodarstwo rabunkowe. Dwa tutaj groziły niebezpieczeństwa: umawianie osadników przez sołtysów i owe lata wolnizny. Przy silnem zapotrzebowaniu kolonistów łatwo było bardzo o pewne nadużycia ze strony pośredników, t. j. sołtysów. Potworzyły się znaczniejsze przedsiębiorstwa osadnicze, jeśli tak powiedzieć wolno, wskutek czego w ich ręku mógł się ruch ten skupiać, tem bardziej że w wielu razach oni dawali zapomogi kmieciom, to wszakże nie byłoby złem tak dalece. Jest to objaw dosyć zresztą naturalny, ale znaleźli się ludzie, t. j. sołtysi, którzy się podejmowali osadzania wielu naraz wiosek, a wywiązać się później ze swych zobowiązań, gdyby byli nawet chcieli, nie byliby w stanie. Rozpoczynali lokacyę, ciągnęli nawet z niej pewne zyski, jeśli się dało — a następnie porzucali ją dla drugiej, trzeciej i t. d. Napróżno przywileje zastrzegają bardzo często, że sołtys osobiście we wsi osiądzie, że doprowadzi do końca lokacyę etc. etc. Nic to nie pomagało, i żadne przepisy temu zaradzić nie były w stanie, gdyż objaw ten tkwił już w samej istocie tego ru-

chu i tego szybkiego tętna, z jakiem się stosunki ówczesne rozwijały. Kmiecie również, nietylko sołtysi objawiali nieraz dążność do niedotrzymywania umów — i ich ogarniał, rzecby można, ten duch niespokojny przenoszenia się z miejsca na miejsce. Szczególniej ze względu na zasiedzenie się kmiecia na miejscu niebezpiecznemi były lata wolności, była to bowiem ta chwila krytyczna, którą trzeba było przejść, jeśli się chciało na miejscu pozostać. Ale jak tu pozostać na miejscu, zdecydować się na płacenie czynszu, dziesięciny, na składanie różnych opłat, kiedy można było dostać się znowu tak łatwo na wolniznę, kiedy wobec zapotrzebowania namawiano i podmawiano kmieci, aby się gdzieindziej przenieśli — a przenieść się zawsze było gdzie! Opuścić łan, który się zaczął wyjaławiać, i chatę dosyć naprędce skleconą — to nie kosztowało kmiecia znowu tak wiele! Przenosił się on też często i chętnie — a u wielu musiało się to stać nawet i nałogiem — porywał się on, byle iść dalej w świat, znowu trzebić las, znowu się budować i zakładać nowe siedlisko — kilka też razy w życiu musiał on nieraz opuszczać starą a zakładać nową siedzibę.

I znowu bardzo niewiele mogło przeciwdziałać prawodawstwo, choć przepisów nie zbrakło.

Jak każdy dobry prawodawca, tak i Kazimierz W. musiał zwrócić uwagę na ten stan rzeczy, musieli zwrócić uwagę i panowie rady — bezpośrednio w tem zainteresowani. Z powodu częstego odbieżania poddanych, mówi też statut, niszczeją majątki panów, przeto nie ma na raz więcej kmieci bez woli pana do innej wsi się przenosić, jak na Boże Narodzenie jeden lub dwóch, a tylko w następujących wypadkach mogą „ruszyć się“ wszyscy, a mianowicie kiedy dziedzic osili córkę lub żonę kmiecia; jeśli go za długi pana fantują; kiedy wreszcie pan jest pod kościelną ekskomuniką. Te ograniczenia nie są jedyne. Tak np. odpowiedni artykuł w wielkopolskiej redakcyi omawia dalej bezprawne opuszczanie panów przez kmieci: w razie tajemnego

opuszczenia wioski, pan zabiera ich mienie, do roku wolno ich ścigać, a gdyby wrócić nie chcieli, mają zapłacić czynsz jednoroczny a nadto trzy grzywny kary, co jest faktycznem przyznaniem swobody przenoszenia się a zniesieniem dawnego przytwierdzenia do gleby. Tak było, jeśli kmiecie siedzieli na prawie ziemskiem t. j. polskiem, jeśli zaś na niemieckiem, może nawet ustawa jest jeszcze łagodniejszą, a mianowicie w razie sprzedaży wioski mogli kmiecie gospodarstwo oddać, i odejść. Mogli byli również to uczynić, jeżeli zostawiali gospodarstwo w porządku t. j. dom niezniszczony, pola wykorczowane i obsiane lub jeśli dawali na swoje miejsce równie zasobnego kmiecia. Mieli kmiecie wreszcie służyć, jeśli byli na prawie polskiem, lub czynsz płacić, jeśli na niemieckiem przez tyle lat, ile używali wolności. Inny znowu artykuł stanowi kary za wykopanie drzew owocowych, chociażby wykopywał je ten, który je sadził, co oczywiście odnosi się do rabunkowego wprost gospodarstwa kmieci, którzy z sobą i szczepy chcieli zabierać. Wątpliwem jest, czy się to wszystko na wiele przydało, skoro tylko znalazł się inny dziedzic, który zbiegłego kmiecia chętnie przyjął do siebie, a taki się zawsze znajdował. Przewiduje to nawet sam artykuł statutu, który się zajmuje bezprawnem opuszczaniem gospodarstw przez kmieci, określa on bowiem karę, którą ma zapłacić pan, przyjmujący cudzego kmiecia. Pomimo wszystko w ostatniej instancyi rozstrzygała tutaj, jak zawsze w takich wypadkach, k o n k u r e n c y a. Często też i tak bywało, że po upływie wolnizny dziedzic zmieniał warunki dawniejszej umowy, ustępował z wymiaru łanów — a być może i z czynszu. Czasem znowu kmieć oświadczał sądownie, że godzi się nawet na więzienie, jeśli przed czasem swój łan opuści. Wszystkie te artykuły prawa, zastrzeżenia etc. stwierdzają raz jeszcze tylko, ak dalece silnym i ożywionym, że już nie powiem gorączkowym, chwilami był ruch kolonizacyjny, który w XIV wieku całą Polskę ogarniał, ale zarazem wska-

zują, jak sytuacya była zagmatwaną, chodziło bowiem ni mniej ni więcej jak tylko o prawne rozwiązanie umowy tam, gdzie jedna ze stron — kmiecie objawiali ciągle dążność do jej zerwania, zostawiając właścicieli w bardzo trudnem położeniu, gdyż nie łatwą było rzeczą określić, kiedy kontrakt jest zerwany, a co ważniejsza nie łatwem było znaleść kmiecia czynsz płacącego. Że ów ruch miał swoje ciemne strony, że nosił w sobie zarodki złego — to wiemy i któż o tem wątpił? Alboż jest jaka instytucya tak doskonała, żeby ich nie mieć i nie nosić? to wszelako jest pewnem, iż ruch ten był niezbędnym dla dalszego rozwoju Polski, bez niego obejść się ona nie mogła; dobre, dodatnie jego strony przeważają też stanowczo i zupełnie szalę na jego korzyść.

Mówi się nieraz w podaniu i historyi o idealnem zajęciu jakiegoś kraju. Lech przybywa do Gniezna ze swoją drużyną i ze swojem plemieniem i obejmuje w posiadanie Polskę — tak chce legenda — ale rzeczywistość chce i wymaga czego innego. Trzeba mianowicie ten zajęty kraj w pocie czoła pługiem przeorać jak długi i szeroki, zamienić odłóg na pole uprawne, którego plonem ludzie się żywią, słowem zdobyć go pracą i zawłaszczyć po raz drugi. To właśnie zrobił cały ten ruch osadniczy, który się w Polsce XIV w. dokonał. Jemu zawdzięcza Polska, że z napoły pustej stała się ludną. Dzięki sprzyjającym warunkom, większej swobodzie i większemu dobrytowi znalazła się łatwo ta nadwyżka ludności, która ją zaludniła. Statystycznych danych niestety nie posiadamy, dokumenty wszakże wspominają czasem o tem, jak „z łaski Bożej“ kraj się zaludnia — i rzeczywiście, zaludniał się on i prawie w oczach mnożyły się nowe osady i przybywało ludzi, którzy je zamieszkiwali. Nic tego wyraźniej nie wskazuje, jak kwestya ochrony lasów i kwestya używalności rozlicznych, które wówczas dopiero na prawdę powstały. Już statut Kazimierza W. zakazuje ścinania cenniejszych drzew w lasach, jak np. dębów, widocznie więc dawniej nie było to niedozwolonem, a w każdym razie nie pilnowano

tego zbytecznie. Ten sam statut wydaje przepisy o pastwiskach i o przepędzaniu stad świń do lasów, aby w polach szkód nie czyniły. Przy końcu też XIV wieku widzimy znaczny ruch, szczególniej w Wielkopolsce — która zdaje się w tym wypadku przoduje innym dzielnicom — regulujący kwestyę używalności, kwestyę serwitutów, jak ją śmiało możemy nazwać. Nazywało się to podówczas *„interdictio hereditatis“*, „zapowiedzeniem“, tj. zakazywaniem dziedziny t. j. włości. Obwoływano w grodzie trzykrotnie, iż nie wolno robić dowolnie dróg, wzbraniano użytków w lasach, polach, łąkach i pastwiskach. Zakaz ten odnosi się zwykle do obcych ludzi, z sąsiednich wsi, czasem do swoich własnych. Inaczej być nie mogło; niegdyś wszystko to stało nieledwie że otworem każdemu, gospodarstwo bardzo ekstenzywne potrzebowało takiej, rzecby można, wspólności niezajętych obszarów. Teraz zmieniły się stosunki. Las, łąka, odłóg przestał być nieużytkiem. Po zajęciu pod uprawę znacznych przestrzeni zrobiło się ciaśniej, nieużytki nabrały wartości, zresztą lepsze gospodarstwo wymagało ich ograniczenia, a co zatem idzie i uregulowania. Właściciel, lub właściciele zwykle przy działach zastrzegali dla siebie i swych kmieci t. zw. „łączeństwo“, t. j. właśnie prawo używalności leśnych i pastwiskowych, ale już było ono zreformowane, bo ograniczone i ściślej określone, a raczej bo określone po raz pierwszy w ogóle.

W Polsce XIV wieku odwieczne puszcze i ciemne bory rzedną, ustępuje mrok, światło się przez gąszcz leśną przedziera, słychać stuk siekier i łomot walących się drzew, a w dalekich leśnych ostępach dziki zwierz przystaje i słucha zdziwiony, z nad moczarów podnosi łoś swą ciężką głowę i niedźwiedź ospały idzie dalej szukać legowiska, a z bagien zrywa się ptactwo i z krzykiem krąży niespokojne, bo się wdarł człowiek, który nań nastaje, trzebi puszczę, osusza bagna i zakłada siedziby. Robi się widniej, jaśniej, przestrzenniej. Wszędzie widać świeżo zorane pola, świeże, jasne, słomiane strzechy chat coraz częściej przerywają dawną głuszę leśną.

Wszędzie ruch, wszędzie życie, wszędzie wysiłek ludzki i praca. Zbywa się Polska ówczesna starych przeżytych form, organizacya grodowa powoli upada, w znacznej mierze, dlatego, że są już miasta, wychodzą też coraz bardziej z użycia rozliczne dawne daniny, związane z innem gospodarstwem i z innym ustrojem, słowem Polska przechodzi z jednej epoki do drugiej. Prowadzi ją zaś ostatni król-Piast do lepszej, szerszej przyszłości i sam zamyka przeszłości podwoje.

Z tej to właśnie epoki pochodzi, jak wiemy, wieś polska — ta sama, którą wszyscy prawie jeszcze pamiętamy.

